Nr. 4. Lwów, dnia 1. Kwietnia 1884. Rok VII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Myśliwstwo w Galicyi

według dat statystycznych ministeryum rolnictwa za czas od 1. Stycznia do 31. Grudnia 1881

zestawionych przez

C. Kochanowskiego.

W publikacyach ministeryum rolnictwa z roku 1882 zeszyt II. znajduje się statystyka leśnictwa i łowiectwa w Przedlitawii. Sądzę, że dla miłośników łowów przyjemne i pożyteczne będzie dowiedzieć się, jakie miejsce w tym spisie Galicya zajmuje i jakiego procentu zwierzyny dostarcza, tem bardziej, że daty te mogą posłużyć do dalszego porównania, o ileśmy co do zwierzostanu postąpili. Daty te przedstawiają część gospodarstwa krajowego, z nich bowiem wykazać można, ile kraj z myśliwstwa przychodów zaczerpnąć może, jeżeli w racyonalny sposób łowiectwo uprawiać będzie. Ilość podanej zwierzyny odnosi się do czasu między 1. Stycznia a 31. Grudnia 1881 roku.

Ogólna ilość zabitej w tym czasie zwierzyny tak pożytecznej jak szkodliwej, przedstawia pokaźną summę 2,145.479 sztuk, z czego na Galicyę przypada tylko mała liczba 118.619 sztuk, czyli 5·52%, podczas gdy w Czechach 946.415 (= 44·11%) sztuk zwierzyny ubito; w Morawii 409.686 (=19·09%); w mały m Szląsku 44.213 (= 2·06%); w Niższej Austryi 327.142 (= 15·24%); w Tyrolu 33.318 (= 1·55%) sztuk. Reszta pozostałej jeszcze ilości zwierzyny 315.699 sztuk czyli 12·50% rozkłada się na inne prowincye, najwięcej w Styryi.

Z 118.619 sztuk zwierzyny zabitej u nas, ze zwierzyny pożytecznej największą cyfrę dają zające. W całej Przedlitawii zabito 940.805 sztuk zajęcy. Galicya staje w spisie dopiero na szóstem miejscu, na Czechy bowiem przypada 380.568 sztuk, czyli 40·54%, na Morawię 205.000 = 21·57%, na Austryę 169.060 = 16·9%, na Styryę 40.650 = 4·32%, na Wyższą Austryę 38.806 = 4·12%, na Galicyę 38 137 = 4·05% sztuk zajęcy. Kozic i świstaków, których zabijanie wzbronione zostało ustawą, nie wykazuje statystyka.

Sarn zabito u nas 3355 sztuk czyli 7·98% na 42.014 sztuk ogólnej liczby ubitych sarn. I tu Galicya stanęła szósta w rzędzie: N. Austrya, Czechy, Styrya, Morawia, W. Austrya, Galicya. Wynik jednakże jest pomyślniejszy od zajęcy; 7·98% sarn przeciw 4·05% zajęcy.

Dzików zabito u nas 808 sztuk na 2121 sztuk ogólnej liczby. Tu Galicya stanęła na czele, dostarczywszy 38·09% sztuk; potem idą Czechy z 37·15%. Zauważać przytem muszę, że nasze dziki prawdziwymi dzikami były, gdyż owe w Czechach lub w innych prowincyach zabite, a w parkach i zwierzyńcach hodowane, raczej na miano swojskich dzików zasługują.

Królików zabito w Galicyi 221 sztuk = 0·81% na 27.463 sztuk ogólnej liczby. Mały procent ubitych królików wskazuje małe ich u nas rozmieszczenie, co ostatecznie wielkiem złem nie jest, gdyż jak wiadomo króliki do szkodników prawie należą, a prawdziwy myśliwy niewielką przyjemność w polowaniu na nich znajduje.

Jeleni zabito tylko 23 sztuk czyli 0·38% na 6048 sztuk, podczas gdy danieli ubito 11 sztuk czyli 0·47% na 2333 sztuk ogólnej liczby. Porównawszy obie te daty, widzimy, że Galicya mniejszego procentu jeleni (0·38%) jak danieli (0·47%) dostarczyła. Okoliczność ta czego dowodzi? Oto że albo je ochraniamy i z poczucia ochrony tylko w minimalnej ilości bijemy, lub druga ewentualność, że ich nader mało posiadamy. U nas w Galicyi zdaje mi się ochrona i mała ilość tychże razem idą. Że jelenie ochraniamy, fakt to pocieszający, że ich mało mamy, w tem nasza wina, bośmy ich przedtem dobrze nie ochraniali. Że możemy dorównać a nawet i przewyższyć Czechy (1287 sztuk), nie ulega wątpliwości, uwzględniwszy, jak wielkie obszary gór są u nas pokryte lasami, które to stosunki tylko korzystnie na utrzymanie i rozwój tego gatunku zwierzyny wpłynąć mogą. Galicya ze swą liczbą jeleni stoi ostatnia w rzędzie, z wyjątkiem Krainy i Istryi (Gorycya, Gradyska, Tryest), gdzie ani jednej sztuki jelenia nie ubito. Że hodujemy daniele, objaw to również pocieszający, gdyż przysparzamy nowy gatunek zwierzyny łownej, jednakże dla danieli nie powinniśmy jeleni zaniedbywać. Co do danieli Galicya stoi przedostatnia w rzędzie, z wyjątkiem Siedmiogrodu, Krainy, Tyrolu, Istryi i Bukowiny, gdzie żadnego nie zabito, po niej następuje Wyższa Austrya jako ostatnia w rzędzie.

Przechodząc do ptactwa pożytecznego, największej liczby z Galicyi dostarczyła przepiórka, a to 24.567 sztuk na 84.487 sztuk ogólnej liczby czyli 29·7%. Co do następujących gatunków zwierzyny, jak: kszyków 11.567 sztuk czyli 65·08% na 177.73 sztuk ogólnej liczby, słonek 5937 sztuk = 23·68% na 25.070 sztuk og. l., dzikich gęsi 487 sztuk = 39·95% na 1219 sztuk og. l., kaczek 11.244 sztuk = 25·83% na 43.516 sztuk og. l., stanęła Galicya pierwsza w spisie; inne prowincye pogrupowały się rozmaicie tak, że co do przepiórek następuje zaraz Morawia, potem Czechy, co do słonek Istrya, Czechy, co do kszyków Istrya, Czechy, co do gęsi i kaczek Czechy.

W dziale zwierząt szkodliwych stanęła Galicya pierwsza w liczbie ubitych lisów; na 21.679 sztuk ogólnej liczby zabito u nas 4678 = 21·76%, za nią idzie Niższa Austrya z 3483, dalej Czechy z 2453 sztuk i t. d.

Następna największa liczba jest 507 tchórzów, t. j. 4·15% z ogólnej liczby 12.205; najwięcej dały Czechy 6291 czyli 52%, dalej Morawia 2102 sztuk, Niższa Austrya 1916 sztuk. Przyzna szanowny czytelnik, że w każdym razie pochlebne to dla Galicyi, iż najmniej tchórzów u siebie posiada, bracia Czesi w tym względzie nie bardzo mogą się chełpić.

Idąc dalej, natrafiamy na liczbę 400 kun, t. j. 6·41% na 6242 sztuk ogólnej liczby. Pierwsze w rzędzie stoją Czechy z liczbą 1675 sztuk, potem Niższa Austrya z 982 sztukami, Tyrol 601 sztuk i t. d.

Dalej ubito u nas 146 sztuk wydr, t. j. 18·8% na 776 sztuk ogólnej liczby, wcale więc nieprzyjemny objaw dla naszego rybołowstwa; tylko Czechy nas przewyższyły, gdyż zabito tam 190 wydr, w innych prowincyach mniej jak u nas.

Wilków zabito u nas 113 sztuk czyli 67% na 165 sztuk ogólnej liczby; rysiów zabito 50, t. j. 76·9% na 65 sztuk og. liczby; niedźwiedzi 15 sztuk czyli 60·2% na 25 sztuk og. liczby.

Z drapieżnego ptactwa ubito 137 orłów = 37·8%, jastrzębi, krogulców i t. p. 3715, puhaczów 435 = 28·1%.

Głuszców ubito 37 = 1·01% na 3664 sztuk og. liczby, cietrzewi 324 sztuk = 4·34% na 7460 og. liczby, jarząbków 1184 = 14·25% na 8298 sztuk og. liczby, kuropatw 442 = 0.06% na 717.292 sztuk og. liczby.

Zestawiwszy te daty w tabelę, okażą się następujące cyfry:

Pożyteczna zwierzyna.

Nazwa zwierza	Liczba ubitego	Procent ogólnej liczby	Ogólna liczba	Miejsce w rzędzie
Zając	38137	4·05	940805	6
Sarna	3355	7·98	42014	6
Dzik	808	38·09	2121	1
Królik	221	0·81	27463	
Jeleń	23	0·38	6048	ostatnie
Daniel	11	0·47	2333	przedost.
Kszyk, słonka, gęś, kaczka	29255	34·4	87578	1
Głuszec	37	1·01	3664	5
Cietrzew	324	4·34	7460	4
Kuropatwa	442	0·06	717292	ostatnie
Jarząbek	1184	14·25	8298	1
Przepiórka	24567	29·07	84487	2
Szkodliwa zwierzyna.				
Lisy	4678	21·76	21679	1
Tchórze	507	4·15	12205	6
Kuny	400	6·41	6242	5
Wydry	146	18·8	776	2
Wilki	113	67·0	165	1
Rysie	50	76·9	65	1
Niedźwiedzie	15	60·2	25	1
Ogólna liczba	118619	5·52	2,145.479	6

Jakie z tych cyfr wnioski wyciągnąć się dadzą? Co do gospodarstwa łowieckiego, nasze nie można jeszcze racyonalnem nazwać; przeważa tu liczba drapieżnych grubych zwierząt, lisów, rysiów, wilków. Z tego równocześnie wynika, że posiadamy jeszcze prawie pierwotne lasy, gdzie takowe przechowywać się mogą, co prócz tego wskazuje największa liczba jarząbków. Zadziwia nas tu tylko, że mając takie lasy, tak mało w nich mamy głuszców i jeleni, jako prawdziwych wyrazów lasu pierwotnego. Co do jeleni, to niestety nierozsądnem gospodarstwem wytępiliśmy je, lecz co do głuszców, znam np. lasy pod Czarnohorą, gdzie z pewnością większej liczby dostarczyć można jak 37. Czegoż to dowodem? Oto, żeśmy trochę zniewieściali, nie zupełnie gotowi do nastawiania grzbietu na trudy i znoje takiego górskiego polowania. Pierwsze miejsce co do kszyków, gęsi i t. d. wskazuje, że musimy mieć znaczniejsze przestrzenie bagniste lub przynajmniej liczniejsze zbiorniki wody, lub że tędy odbywa się liczniejszy ciąg jesienny i wiosenny tych ptaków. W liczbie przepiórek stoimy wysoko, co również wskazuje na obszerne pola, lecz równocześnie 442 ubitych kuropatw wcale nie pochlebnie przedstawiają naszą krainę, bo jeżeli posiadamy obszerne równiny,

a nie posiadamy kuropatw, oznacza to, że źle gospodarujemy w łowiectwie, bo albośmy je (t. j. kuropatwy) wytłukli, albo nie ma u nas owych cennych remiz, gdzieby się kuropatwa i zając, co liczba tylko 38.137 ubitych zajęcy również wskazuje, w rozmaitych porach ukryć mogły.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że i nasze gospodarstwo łowieckie się podniesie, że wyrówna Czechom, a może je i przeskoczy, ku czemu wszelkie środki posiadamy i co daj święty Hubercie, aby jak najprędzej się stało.

Dla uzupełnienia i rozjaśnienia rzeczy daję tabelę przekroczeń ustawy łowieckiej, cyfry obszarów łowieckich i personału myśliwskiego.

		Liczba doniesień o przekroczeniach	Z tego przyznano		Wynik w urzędowaniu politycznej władzy				
			sądom karnym	polityczn. urzędom	nieznani	uwolnieni	nagana	kara pieniężna	areszt
Galicya	1878	405	53	352	1	15	3	84	249
	1879	404	89	315	11	19	23	175	87
	1880	257	43	214	5	21	4	63	121
Czechy	1878	525	50	475	10	65	17	295	88
	1879	389	32	357	7	40	23	225	62
	1880	440	40	400	8	52	25	263	52
Morawia	1878	69	8	61	2	9	5	40	5
	1879	62	13	49	—	1	9	37	2
	1880	64	3	61	1	5	4	46	5
Przedlitawia	1878	1603	194	1409	29	152	114	664	450
	1879	1394	248	1146	21	117	59	686	233
	1880	1347	199	1148	28	160	85	618	257

W tym względzie zaznaczamy ten przyjemny fakt, że liczba szkodników łowieckich się zmniejsza i stosunkowo n. p. Czech mniej wynosi, bo tylko 19·2%, gdy w r. 1879 było 29%, w r. 1878 25·3%.

Wynagrodzeń za szkody wyrządzone przez zwierzynę przyznano w ogóle 36.680 złr., w Galicyi tylko 5 złr., w samych Czechach tylko 34.126 złr.

Personał myśliwski do strzeżenia.

	Ogólna liczba personału	na samoistnych przestrzeniach	na niesamoistnych myśliwskich
Galicya.	5524	3968	1556
Czechy.	9366	7081	2285
Przedlitawia	28264	17795	10469

Liczba samoistnych na podstawie § 55. prawa myśliwskiego z dnia 7 Marca 1849 r. okręgów myśliwskich w Galicyi 6128, w Czechach 2806, w Morawii 1865. Wszystkich w Przedlitawii 15.652. Samoistnych na podstawie §. 7. tejże ustawy w Galicyi 7, w Czechach 317, razem w Przedlitawii 394.

Rozdzielenie okręgów myśliwskich.

	od 115—172 ha.	od 172—230 ha.	od 230—287 ha.	od 287—575 ha.	od 575—1150 ha.	nad 1150 ha.
Galicya . . .	1132	826	757	1537	1084	792
N. Austrya.	271	101	70	128	87	45
Czechy . . .	317	451	347	768	400	209
Morawia . .	358	261	271	496	315	164
Tyrol i Vorarlberg . .	271	165	134	291	291	481
Szląsk . . .	54	34	34	61	26	24
Razem .	3399	2147	1854	3681	2489	2082

Z dat ostatnich wynika, że u nas tak jak w Czechach średnia posiadłość większa najsilniej zastąpiona, co świadczy o lepszym stanie gospodarstwa łowieckiego.

SPOTKANIE

PRZEZ

Kaźmirza hr. Wodzickiego.

Szczęście — mgliste nasze pojęcie tego wyrazu i jego znaczenia, giętkie i naginające się do naszej wyobraźni, olbrzymich rozmiarów i zarysów, to znowu zamknięte w skromnych i ciasnych ramach. Szczęście — to złota nitka tkana w literaturze i poezyi, świecąca w życiu naszem, nieujęta, nieoznaczona; błyskotka, za którą gonią starcy i młodzianie, matki i dziewice, a uchwycić jej nie zdołają; to meteor płomienisty, spadająca jasna gwiazdeczka, za którą gonimy, aby się przekonać, że zaświeciła i zgasła. Obrazy szczęścia, przez nas stworzone, bywają skromne lub wielkich rozmiarów, niekiedy nawet tak rozległe, że zasłaniają świat wyższy, świat nieśmiertelności, zakrywają i zaciemniają tych, którzy je zarysowali. Skromnych rozmiarów szczęście przystępniejsze, mimowoli nasuwa się wiersz Syrokomli:

Lubię marzyć, lubię bujać, ale marzę skromnie,
Mało trzeba, aby szczęście zawitało do mnie,
Trochę słońca, trochę życia, to mi dusza wskrześnie,
Trochę ciszy, trochę wczasu, to ułożę pieśnie,
Trochę serc, coby spoić z mej piersi oddechem,
Skromne cele, ach! nie wiele pożądam, jak dziecię,
Lecz i mnie się trochę szczęścia należy na świecie.

Kraszewski woła: „Kruche jest szczęście, nie rzucaj go o ziemię.“ A ileż to razy zamykamy przed szczęściem wrota lub jak dziatwa psujemy.

Szczęście składa się z czystych chwil w życiu, z uczuć szlachetnych, ze łzy, co z serca wytryśnie, z uścisku dłoni, z spojrzeń na świat, na to wielkie dzieło Boże, którego piękności zachwycają duszę. Nie szukaj szczęścia w bryle całkowitej, bo go nie znajdziesz. Szczęście — to czarodziejska gwiazda, która nie spada na ziemię; szczęście jest w siódmej sferze, w niebieskich eterach Platona, w ognistym empireju — nie szukajmy go tutaj daremnie.

Zaiste wstęp to nie myśliwski, więc się odwracam od stronic książek, tłumię w umyśle rojące się obrazy i szukam treściwej i praktycznej definicyi szczęścia. Tłoczą się barwiste rysy, nadziemskie zachcenia, wyobraźnia nigdy nienasycona coraz wyżej sięga, chwyta mglistą myśl, lecz jej zatrzymać nie może, mrzonki i marzenia, chorobliwe dążności, niechrześciańskie żądania, w końcu wyobraźnia i umysł znękane uznają swą niemoc. Spuściwszy się z tych wysokich sfer, dla nas niedostępnych, myśl rysuje kontury naszego ziemskiego szczęścia i skromne stawia zdanie, że szczęście — to powodzenie. Dwoje serc zespolonych na całe życie gorącem uczuciem, tym wieńcem od aniołów wziętym, wypróbowana długoletnia przyjaźń, błogosławiona owocem praca, uznanie zasług i poświęcenia, życie czyste i ofiarne, otaczająca miłość ludzka, swoboda umysłu przy zdrowem ciele, śmierć spokojna i szczęśliwa — oto powodzenie, oto szczęście na tej ziemi!

Szczęście myśliwego — to *spotkanie*. Spotkanie czyż nie jest również szerokiem, mglistem i zagadkowem pojęciem w znaczeniu szczęścia, błyśnie ono i zgaśnie, towarzyszy jednemu, od drugiego stroni, jak kapryśna kokietka przymila się i nagle odskakuje, towarzyszy i porzuca, lubo niewierna niekiedy powraca, a czasem znika niestety na długie lata. Stroi się szczeciną, futrem, szerścią i pierzem, a zawsze jej to do twarzy, bywa drobnych lub wielkich rozmiarów, zła lub dobra, zawsze pożądana! Nie pomogą łzy i błagania, groźby i jęki, nic nie zwabi dworzankę Diany, gdy uzna myśliwego niegodnym jej pieszczot. Jakież bo to bolesne chwile przepędza myśliwy na stanowisku, jakie tortury cierpieć musi, gdy mu pamięć przywołuje urocze chwile śród zieleni lub zwartych gąszczów, otoczonych wałem śnieżnym, a dziś opuszczony i porzucony zawistnem okiem ściga sąsiada, pieszczonego w tej chwili przez niewierną kapryśnicę, wzruszonego jakby prądem elektrycznym, promieniejącego upajającem szczęściem, gdy przed zapomnianym dawnym oblubieńcem ni ruchu ni życia w tym leśnym grobie, całunem pokrytym. Nie dosyć męki w tym sarkofagu, owa niewyczerpana w środkach dokuczania, mściwa psotnica płata krocie figlów: w chwili strzału rzuca rzemień na lufy lub czapkę na oczy, wikła strzelbę w sznury, czasem trąci, nawet przewróci, napędza z tyłu zwierzynę lub ją okaże nim gon się rozpocznie, za pniem i łomem postawi, szepnie sąsiadowi, by zbliżył się na pogadankę lub po ogień do papierosa, i naraża na srogą pokutę. Niekiedy przemieni rogacza w kozę, pobiegnie do naganiaczy i rozpędzi ich lub skieruje w inną stronę, psom wiatr odbierze, strzelbie ostrość strzału, zwierza przed łowami z miotów wypłasza, kulę wymierzoną w komorę zepchnie na nogi, lub w pień nią uderzy, nastawi gałązkę usuwającą kierunek kuli, nawet śrótem igra, rozrzuca i wiatrem pędzi. Pomocnica ta Diany wstrzymuje zwierza w chwili strzału, nie dopuszcza na dogodną lukę, postawi za wywrotem lub w debrze zakryje, gąszczem dla ołowiu niedostępnym zastawi, a potem go cofnie i sprawia myśliwemu męki Tantala. Krocie ma sposobów dokuczenia ta luba psotnica, a mimo tak srogiego dręczenia każdy z nas na słocie i mrozie do niej się mizdrzy, wzdycha i prosi o spotkanie prawdziwe i rzeczywiste, nie łudzące i fałszywe, jakiego często nam użycza.

Spotkanie i spotkanie, to dwa portrety, jeden arcydziełem i wiernym wizerunkiem, drugi bohomaz bez podobieństwa. Cóż mi ze spotkania, gdy zwierz wyjdzie, zanim jestem przygotowanym do przyjęcia go, lub z jednych kulis przerzuci się w drugie jak piłka, gdy nakształt ducha przesunie się zwierz po za granicą mego strzału, gdy mnie spostrzeże rychlej jak ja jego, lub wcześnie mnie zwietrzy i cofnie się, gdy usłużny sąsiad strzeli na chybił trafił na moje stanowisko, lub zakaszle w chwili, kiedy się do zwierza zmierzam, albo kichnie z pełnych płuc, wreszcie gdy w czasie gonu rozpowiada, jak to on strzelił.

Spotkanie można porównać do magnesu i żelaza, szczęśliwy myśliwy to magnes, zwierzyna to żelazo Czasem pędzi na mnie zwierzyna na oślep, zdawałoby się, że zboczyć nie może, czekam, przygotowuję strzał, wtem w pewnej odległości zbacza i wychodzi na wybranego myśliwego. Któż z nas nie widział zwierza wychylającego się w oddaleniu, rozpatrującego się, niby błądzącego po miocie, oczywiście szuka oblubieńca, widocznie to nie jego weksel, niedogodnie mu tamtędy, jednak tam mu kazali iść leśni bożkowie. Dawni myśliwi mówili: „Na niego zwierzyna na sznurku prowadzona.“ I rzeczywiście to pchanie się zwierzyny na jednych, a stronienie od drugich, tajemnicze i zagadkowe, gdziekolwiek bowiem wybraniec stanie, tam strzela, przeciwnie potępieniec leśny choćby postawiony na znanym, najlepszym wekslu, może nawet strzelby nie nabijać. Mniemałbyś, że jeden myśliwy wonią pociągający, drugi wstrętny zwierzynie. Mylne to zdanie; znałem potępieńców Diany, nie znających w życiu dymu i perfum, a nie mających spotkania; innych zaś kurzących jak z komina lokomotywy, a strzelających na każdem stanowisku. Ów się kryje i maskuje, stoi na stanowisku jak spiżowy posąg, a nic nie widzi; tamten stanął nie zakryty, wierci się i rusza, a zwierz pcha się na niego. Zaiste, niepojęte mamy tajemnice w łowiectwie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TANAS.

GAWĘDA MYŚLIWSKA

PRZEZ

Aleksandra Ubysza.

(Ciąg dalszy.)

Wnet jednak zostałem psiarczykiem, a w dwa lata, gdy umarł dojeżdżacz, woła mnie do siebie pan i rzecze: „Tanas, od dziś będziesz dojeżdżaczem.“ Łowczy Pleśniarski oddał mi nadzór nad psiarnią, dwa konie zmarłego dojeżdżacza, jednego myszatego, drugiego kasztanowatego z konopiatą grzywą i wreszcie zarząd stajni. Gdy nie było wielkiego polowania, tom chodził sobie ze strzelbą z innymi myśliwymi, lecz gdy zjechali się do Rzeczycy panowie z dalekich stron, lub też panu

zachciało się zapolować po swojemu, to już wtedy prawie nie zsiadałem z konia. Używałem najczęściej kasztana, bo był wytrwały, ale zły jak diabeł. Prócz mnie i psiarczyka, który go doglądał, bił wszystkich przedniemi i tylnemi nogami. Mądry to był koń: gdy mi nieraz wypadło w Mizuńskich lub Synowudzkich górskich lasach piechotą ruszać za psami, bo po wertepach nie można było konno, to zostawiam kasztanka nieuwiązanego, a on stoi choćby dwie doby, aż nań zawołam. Nieraz psy utną, gdzieś przepadły, trzeba ich szukać, to kasztan jak ogar szedł za psim tropem, aż wreszcie odszukał, wtedy schylał głowę, wietrzył tędy i owędy i sznurkiem ciągnął w stronę, gdzie psy milczkiem pognały. Szalenie pruły moje konie gąszcze, gdy mi wypadło zajść gonionemu zwierzowi na przełaj, kaleczyły się i mnie się nieraz mimo skórzanego odzienia dobrze dostało, ale co tam, naprzód za gonem psów, aby grubemu zwierzowi nie dać się unieść zbyt daleko i zmusić go wbrew swemu zwyczajowi do powrotu na linię strzelców. Dojeżdżacz na wszystko musi mieć baczne oko, na zwierza, na ludzi, na psy, bo to u psów różne bywają natury, jeden goni gorąco, unosi się, ucina, poprawia, ten znowu goni wolno, wytrwale, nieustannie bąka, a nie zgubi tropu, i taki najlepszy. Przy złai kilkunastu psów, zwłaszcza gdy się przyłączą obce psy, największa dla dojeżdżacza praca, nie znając natury obcych psów, musi ich pilnować, a kropić harapem i spędzać w czambuł. Dojeżdżacz w kniei to dowódzca wiodący oddział do ataku, musi strzedz, by się nie rozsypał, tak też i ogary tylko kupą niech gonią, gdy się rozbiegną, już po polowaniu, ten do Sasa, ten do lasa, każdy nypie po innych tropach, bałamuci, stąd wydarzają się wypadki, że naraz w kilku miejscach psy gonią, więc głównem zadaniem dojeżdżacza trzymać złaję w kupie.

Jednego roku pojechaliśmy do Czernicy, majątku pana Nahujowskiego. Sławny to był myśliwy i pan jakich mało. Bywał on nieraz w Rzeczycy, pojechał też Romanowski do niego. Nahujowski mieszkał w Czernicy pod Mikołajowem, miał też majątek Kropiwnę w stryjskich górach. Tam były ogromne bukowe i świerkowe lasy na stromych górach karpackich. Było tam mnóstwo grubego zwierza, niedźwiedzi, dzików, jeleni. Ja wtedy jeszcze jak żyw nie widziałem jelenia, a Romanowski rzecze mi: „Tanas, pojedziemy do pana Nahujowskiego na jelenie. Kaźmirz zabierze sieci, ty wybierzesz najlepszych ogarów swór dziesięć, kundlów pięć drążków, bo zapolujemy i na niedźwiedzie. Wiem, żeś nigdy nie dojeżdżał jelenia, więc weź się w kupę, bo jak polowanie się nie powiedzie, sto batów cię nie minie.“ Wiedziałem, że dotrzyma przyrzeczenia, ale też byłem pewnym, że w razie powodzenia duma jego myśliwska urośnie i baty w sorokowce się zamienią. O świcie w dwadzieścia wozów, z psiarnią, sieciami i całym łowieckim przyrządem ruszyliśmy na Lwów do Czernicy. Leży ona w dołach stryjskich, więc tam tylko na drobną zwierzynę polowaliśmy i po kilku dniach nie było już co robić. Nie dla dojeżdżacza tam była robota, ale Romanowski jak zawsze dumny i kapryśny, chciał zaimponować Nahujowskiemu i szlachcie okolicznej, której cała hurma zjechała się do Czernicy, więc kazał mi wystąpić w pełnym stroju i rynsztunku na tych zajęczych i sarnich łowach. Mioty były szczelnie otoczone sieciami, więc głupio wyglądałem, ale „skaczy wraże, jak pan każe“. Do mniejszej kniei ubierałem kurtę i spodnie sukienne, szczelnie do ciała przystające, czapkę z przyłbicą. Do większej kniei sukno zastępowała skóra łosiowa, którą mój pan kazał zabarwić na zielono, więc wyglądałem jak żaba zielona. Przypasywałem też kordelasik na mniejszą, kordelas na grubą zwierzynę do prawego boku, na plecy zarzucałem krótką, lekką dubeltówkę, bo było moim obowiązkiem w razie potrzeby dobić ranionego zwierza osaczonego, gdy nikt z myśliwych nie przybywał, wolno mi było zabić, lecz nie strzałem, tylko kordelasem. Trąbka, wreszcie długi harap dopełniały mego stroju. Harap niezbędnym był dla dojeżdżacza, nim kierował on niesforną złaję psów, głośnem trzaskaniem zawracał zwierzynę, gdy po za miot przedrzeć się lub przekraść usiłuje, co najczęściej czynią wilki, posłyszawszy psów granie, głos trąbki i strzały, wynoszą się chyłkiem z miotu. Ja sam nieraz tym sposobem wstrzymałem ową bandę zbójecką i wybito ją do nogi. Ale wracam do Czernicy. Lasy Czernickie i okolicznych panów pełne były zwierzyny, ale drobnej, miot obstawiono sieciami, ja z psiarczykami podłożyłem psy, zbieraną drużynę, bo były dwie sfory naszych i trzy Nahujowskiego. Nasze psy szły przy mnie, szukały jak należy, tylko „Wytropowi“, staremu, wytrawnemu tropowcowi, wolno było dowolnie chodzić. Gończe Nahujowskiego, nie trzymane w karbach, skoro je spuszczono, pomknęły do lasu, i moim się tego zachciewało, ale kropnąwszy tego i owego na odlew harapem, wnet poskromiłem tę ich chętkę. Tropowiec poszedł na prawo, psy Nahujowskiego na lewo. Po niedługiej chwili bąknął Wytrop swym grubym głosem, na ten głos gończe moje pomknęły jak z procy za wskazanym zwierzem. Skoro przyjęły trop, tropowiec wrócił do mnie i obaj idąc za psami, pilnujemy porządnego gonu, a goniły stado sarn i okładały aż miło. Pospieszam za złają z Wytropem, który nagle najeżył włos i zaszczekał, rzucając się w gąszcz leszczynowy, obok którego przejeżdżałem, a wnet wymknęło z niego, niby stado baranów, sześć wilków. Ja krzyczę huż! huż! Wytrop rusza za wilkami i huczy swym grubym głosem. Widzę, że wilki zmierzają w stronę miotu przytykającego do rzeki, więc sieciami nie obwiedzioną, była obawa, że wymkną się z miotu, przepływając rzekę. Zatem pędzę na przełaj, wołam nieustannie huż! huż! trąbię przeciągle na znak, że z wilkami sprawa. W sam czas stanąłem przy rzece, w tejże chwili walą wilki hurmą na rzekę, ja palę z obu luf nabitych lotkami, jeden wilk skoziołkował, drugi musiał także dobrze oberwać, bo przyzostał i wolno postępował za stadem. Na strzał przypadł Wytrop, obwąchuje martwego już basiura, ale podprawiony poszedł za świeżymi tropami i wnet począł się odzywać według swego zwyczaju powolnie lecz wytrwale. W całym miocie dziwny rozgardyasz, psy Nahujowskiego w innej stronie, nasze w innej gonią, Wytrop w pojedynkę idzie za wilkami. Ruszam za jego głosem. Z dala słychać gęste strzały, wtem u ściany sieciowej ustawieni chłopi, aby zwierz nie przebił się przez sieć lub jej nie obalił, poczęli w niebogłosy wołać: „a byj! a byj! wouk! wouk!“ Trąbię sygnał na wilka z całej siły, aby myśliwi w pomoc podążali, lecz obcy myśliwi nie słyszeli czy nie zrozumieli sygnału. Romanowski, jak mi opowiadał Kaźmirz, usłyszawszy pierwszy mój sygnał, zawołał do niego: „Ej, czy to nie wilki?“ Kaźmirz posłuchawszy chwilę, rzekł: „A wilki jaśnie panie.“ — „Teraz ty czuj duch biegaj do najbliższych myśliwych i powiedz, żeby zeszli ze stanowisk i szli ku północnej części miotu, ku jej krańcowi obwiedzionemu sieciami, bo tam wilki mają „zmach“, a nawet słyszę Wytropa w tamtej stronie.“ Kaźmirz jak jeleń pomknął w gąszcze. Był to już człek stary, wysoki wzrostem, przygarbiony, idąc kosił nogami, leniwo zwykle chodził, tylko nie w kniei, skoro posłyszał grę psów, prostowały się plecy, nogami szparko i równo pomykał. Jak on wykonał rozkaz, co uczynili myśliwi,

co się stało z wilkami, opowiadał mi potem Kaźmirz, mnie bowiem wara docierać do stanowisk, a tem bardziej do ścian sieciowych, jak długo trąbka łowczego nie odezwie się „zbornego“. Posłuchawszy przez chwilę, ruszyłem przez gąszcze w stronę głosów naszej psiarni, która okładała zwierza po kniei, nie dopuszczając wymknięcia się z miotu, bo to już rzeczą dojeżdżacza, aby psy dobrze zwierza trzymały, musi on dzielnego mieć konia i dobrze rozważać, którędy zajechać, gdzie stanąć, gdzie pójść na przełaj, słowem nie iść ślepo za muzyką ogarów, lecz kierować nią. Nie wszyscy myśliwi wiedzieli o wilkach w tym miocie, ci tylko, których Kaźmirz uwiadomił, pospieszyli ku ścianom sieciowym, gdzie w krótkim czasie pobili napierające na sieci wilczyska. Dalsi myśliwi pozostali na swych stanowiskach, ubili kilka sarn, poczem łowczy na rozkaz Nahujowskiego zatrąbił „zbornego“, i tem się miot zakończył. Romanowski chlubił się moim sprytem i dowodnością swej psiarni. Dwa razy jeszcze polowaliśmy w tych dolnych kniejach, gdzie ja tyle byłem potrzebny, ile piąte koło u wozu.

Po dwudniowym spoczynku wyprawiono mnie i psiarnię do górskiego majątku Nahujowskiego Kropiwny, położonej w głębokich górach Stryjskich. Zanim panowie przyjechali, wypoczywała psiarnia, ale nie ja. Z pomocą dwóch starszych myśliwych Nahujowskiego, poszedłem rozglądnąć się po Kropiwnickich i sąsiednich lasach. Leśni i leśniczowie służąc u myśliwego, dokładnie znali stan zwierzyny, osobliwie dzików, niedźwiedzi, a nawet jeleni, które, szczególnie rogacze po odbytem rykowisku, zachodziły z wysokiego Beskidu w tamte parowiste i górzyste knieje, aby wypocząć po weselnych trudach. Panowie nadjechali wreszcie, dano rozkaz, bym jutro ze świtem wyruszył do kniei, bo według raportu leśniczego w rewirze zwanym „Hołe“ miały się znajdować dwa kapitalne rogacze. Zatrwożyłem się, ażali ja i psy nasze, nie znające dotąd jelenia, potrafimy gonić go należycie. Wiedziałem, co nas czeka, gdyby się nie powiodło: mnie baty, psy gałęź pierwsza lepsza w lesie. A jak tu w takich wysokich górach psami kierować, ani pieszo, ani z konia. Długą jesienną noc przedumałem nad moją i psów dolą, a ze świtem pobudziłem ludzi swoich i Nahujowskiego, wybrałem jedną sworę z naszych, jedną z Nahujowskiego psów, i ruszyliśmy na owe „Hołe“. Myśliwych rozstawił leśniczy, ja zaś na kasztanie z leśnym i dwoma sworami ogarów miałem podkładać pod wiatr. A Hołe była to długa dolina, ciągnąca się szczytem gór, bezdrzewna, stąd też jej nazwa, z rzadka tylko porastał niski jałowiec, gdzieniegdzie zaś sterczały ogromne poczerniałe głazy. Na całej tej polanie rosła bujna trawa, toż jelenie chętnie tu żerowały. Stoki tego szczytu obrośnięte były ciemnym, siekierą nietkniętym lasem bukowym, jaworowym, smerekowym i jasionowym. Choć ta polana miała tak bujną trawę, nikt prócz dzikiego zwierza nie chodził po niej, dostęp bowiem do niej był nawet dla górali, ich bydła i owiec niemożliwy. Jedyna ścieżynka wiodła ku niej lasem przez parowy, potoki i skały. U podnóża góry kazałem postawić kilka swór psów gończych odwodowych, sam zaś wiodąc za sobą kasztana i dwie swory ogarów, z leśnym jako przewodnikiem dążyłem ku owej polanie. Wziąłem też z sobą naszego Wytropa, byłem pewny, że jak przy innej zwierzynie, tak też na jelenia będzie mi pomocnym. Drapałem się mozolnie tą ścieżynką, znajdując po drodze to mniejsze polanki, to młaczki, porośnięte sitnikiem, to karłowatą olszynką, a co chwila szemrał potok. W połowie góry począł Wytrop ściągać, strzydz uszami, wietrzyć. Leśny mówi: „Czujete Tanas, tu tra dobre hladyty, baczu sobaka zaczuła ołenia, win tudy perejszou.“ Ha! myślę, może to i prawda, więc podkładam tropowca, a my ciągle się drapiemy w górę ku owej polanie. Po długiej chwili bąknął Wytrop gdzieś daleko, po małej pauzie bąknął powtórnie, zesworowane ogary poczęły się leśnemu szarpać, więc wołam do niego: „Puskaj!“ Niebawem ozwała się muzyka czterech ogarów, a Wytrop zrobiwszy swoje, wrócił do mnie. Spieszymy ku nagiemu szczytowi, bo też pragnąłem ujrzeć jelenia gonionego przez psy. Dotarłem wreszcie do szczytu spocony, serce mi biło jak młotem. Stoję i czekam, zwierz wodzi psy po ciemnym lesie i najwyższych szczytach. Psy to ucichną, to znów gwarnie się odezwą, wziąwszy zwierza na oko, to bliżej, to znów gdzieś daleko, a zwierz widocznie okłada w przeciwnej stronie od myśliwych, a na polanę się wymyka. Już ze trzy godziny wodzi psy, ale one trzymają go ślicznie, a rej wodzi Płaksa, suka nasza. Stoję na miejscu, mądry kasztan uchem strzyże, nasłuchuje, aż tu nagle ogary odezwą się koło mnie, serce mi obuchem uderzyło, Wytrop wyrwał się do psów, zdało mi się, że cały las trzeszczy, i raptem wypada jeleń prześliczny, ogromny wieniec położył po grzbiecie i pomknął samym grzbietem wzdłuż polany. Pięć psów poszło za nim, a ja co koń wyskoczy pędzę za jeleniem, szalenie pomykającym gdzieś ku Beskidom w dali siniejącym. Szalona to była jazda w głąb jaru skalistego, ja oczy zmrużywszy odmawiałem „Bohorodyco diwo“. W takim pędzie na spodzie jaru padł kasztan i ja też przez głowę konia potoczyczyłem się na kroków kilka. To mnie przywołało do przytomności, zerwałem się i spieszę do kasztana, który też wnet stanął na nogi. „Hospody sława tobi“, ale gdzie psy, gdzie jeleń? Słucham, gdzieś daleko ujadają ogary w miejscu, snać osadziły zwierza. Dosiadam konia i docieram bliżej głosów i wreszcie widzę jelenia, przodem do psów obróconego, zadem opartego o ścianę jaru prostopadłą. „Hura!“ zawołałem ochoczo. Psy rwą się do niego, ale on broni się wieńcem, groźnie strzelając świecami (oczami) i ze świstem wyrzucając z nozdrzy strumienie pary. Mnie strzelić nie wolno, więc trąbię na myśliwych i hukam co sił. Już zmrok zapadał i ciemność ogarniała głęboki jar. Rozważam, jakby to z kordelasem przystąpić do jelenia i zadać mu cios śmiertelny, ale z przodu zastawił się wieńcem, z boków obroną mu wąski jar, z tyłu przepaść. Nie ma innej rady, trzeba jelenia psami wyprzeć z tego wąskiego koryta, więc szczuję zaciekle, Wytrop rzucił się obcesem, ale wnet uwiązł na jelenim wieńcu, zaskomlił żałośnie, co słysząc bez wahania rzucam się na jelenia i w chwili gdy wraz z psem podniósł rogi, zatapiam mu kordelas w szyję. Jeleń ryknął straszliwie, krew strumieniem trysnęła z głębokiej rany, i po chwili powalił się martwy na ziemię wraz z nieżywym Wytropem. Radość z powalenia wspaniałego zwierza walczyła we mnie z srogim żalem z powodu utraty wiernego i dowodnego psa. Tymczasem noc zapadła, począłem nawoływać, trąbić, nawet strzelać na wiatr. Cicho, żadnej odpowiedzi, tylko puhacz gdzieś huka po skałach. Nademną zawisło niebo czarne, osłonione gęstą mgłą. Postanowiłem nocować w miejscu. Siedzę i dumam, głodne psiska chlepcą krew jelenia, której spora wysączyła się struga, wtem nad jarem zajaśniało nieco niebo, sądziłem że księżyc wschodzi, światło stawało się coraz jaśniejsze, psy poczęły naszczekiwać, wreszcie słychać głosy ludzkie, uradowany palę z obu luf. Był to leśniczy z myśliwymi i kilku chłopami. Wyprawił ich do do mnie Nahujowski. Przynieśli jedzenie dla mnie i dla psów. Noc ubiegła na opowiadaniu całego wypadku i na oglądaniu jelenia, ze świtem wynieśli górale na noszach jelenia z jaru, w którym Wytropa pogrzebaliśmy. Gdyśmy przybyli do Kro-

piwnik, wszyscy panowie wybiegli na nasze spotkanie, a gdym opowiedział całe zdarzenie, uradowany pan Nahujowski aż mnie w głowę pocałował, a Romanowski rzekł: „Dobrześ się sprawił, nadaję ci pustkę po krzywym Jacku i dam drzewa na budynki“, a panowie poczęli sypać pieniądze do mojej skórzanej czapki, którą z uszanowaniem w ręku trzymałem. Z pół czapki było sorokowców, a trafiło się i kilka czerwońców (dukatów). Ale na co to się wszystko zdało, ot teraz nie mam ni chaty, ni gruntu.

Otóż pokazało się, że i w takich górach przyda się dojeżdżacz. Z sieciami raz tylko polowaliśmy, bo jak niemi obstawiać jary i góry. Miot ten zajęliśmy sieciami na trzy niedźwiedzie, a było to tak. Nie pamiętam, jak owa część lasu się nazywała, ale leżała w najwyższych górach z dala od wsi. Tam w skalnej pieczarze od dawna była lęgowa gawra niedźwiedzi. Mieściła się ona w ścianie skalistego brzegu potoku, który głębokim jarem płynął. Przystęp do brzegu i do gawry niemożliwy, bo jar a raczej łożysko strumienia bardzo głębokie; dostać się do gawry można było od starego, wysokiego i bardzo gęstego lasu. Nie łatwo było las ten przebyć z powodu kamieni, zalegających całą przestrzeń, jakoteż wywrotów niebotycznych starych buków. Wywroty te leżąc lat kilkadziesiąt, próchnem swem świeciły w ciemności, a lud twierdził, że czort tam ma swoją siedzibę. Nieraz już Nahujowski polował z sąsiadami na te niedźwiedzie, ale zawsze bez skutku, bo skoro psy je trafiły, to z razu oganiały się złai, maltretując niejednego z psów, wreszcie umykały w pieczary skalne, gdzie już były zupełnie bezpieczne. Naprózno perswadowano Romanowskiemu, iż daremne będą trudy, że niejeden z myśliwych już głowę swoją w tych skałach położył, że sam czort niedźwiedzi pilnował, psuł rozmaitemi sposoby polowanie, strącał w przepaść, jak to się stało dwom niedźwiednikom (ludziom poszukującym gawry i wybierającym z nich młode). Pan Nahujowski omal polowania na te niedźwiedzie nie przepłacił życiem, o czem sam tak opowiadał. Ojciec mój jeszcze bardziej namiętnym był myśliwym, jak ja. Jako młody chłopiec przyjechawszy ze Lwowa na ferye do domu, często polowałem w Czernickich i okolicznych lasach, ale tylko na drobną zwierzynę, co mi się już naprzykrzyło, więc wyprosiłem sobie pozwolenie łowów w Kropiwnej, gdzie podówczas gospodarował ekonom Ryniecki. Że to w górach gospodarowanie nie daje wiele pracy, więc szlachta górska polowała namiętnie. Ryniecki był myśliwy zawołany, młody, silny, znał las dokładnie, więc nie biorąc nikogo z sobą, ruszyliśmy świtem do lasu z jedną sworą gończych, co to, jak powiadają, i samego diabła się nie ulękną, a z niedźwiedziami znały się dobrze, bo dosyć naszarpały im kudłów, nie jedną też bliznę nosiły na sobie od ich pazurów. Weszliśmy na grzbiet góry skalistej „Osmalonej“, zwanej tak z powodu głazów zczerniałych od wiatru i słońca. Psy nie spuszczaliśmy ze sworów, aby goniąc inną zwierzynę nie płoszyły niedźwiedzi. Za Osmaloną była duża, na pół młaczna polana, z której sączyła się woda czerwona jak krew od rudawiny do potoku, a za nim wznosiła się stroma, skalista, rzadko bukami porośnięta góra. Stok jej południowy posiadał z dawna znane i sławne gawry niedźwiedzie. Mówię do Rynieckiego: „Może tu podłożyć?“ — „Nie — odparł — patrz pan.“ Spostrzegłem na uboczy dwoje piastunów igrających z sobą. Chciałem strzelić, lecz Ryniecki powstrzymał mnie, zapewniając, że żywcem weźmiemy piastuny, kiedy stare wyszły na żer. Skorośmy się wychylili z załomu skały, znikły piastuny w głębi gawry. Nor było mnóstwo, wygrzebanych przez niedźwiedzie i lisy, zwierzęta te bowiem sąsiadują z sobą swobodnie. Psy zwietrzyły norę, w którą piastuny się skryły. Ryniecki stanął na straży z dubeltówką, a ja lezę na czworaku do głębokiej pieczary, obszernej ale ciemnej. Wnet posłyszałem w jednej stronie skrobanie i pomrukiwanie, sunę się tam, wtem słyszę strzał i krzyk Rynieckiego. Porzucam piastuny, którem już był namacał, co tchu wyłażę z gawry i widzę, że Ryniecki coś robi koło panewki, bo kapslówki mało były jeszcze wtedy znane, a o kilka kroków ogromny niedźwiedź mocno farbując opędza się psom i sadzi wprost ku nam. Pochwyciwszy moją dubeltówkę, strzelam z obu luf, poczem niedźwiedź skoziołkował i stoczył się w potok, gdzie go wnet cięte psy przysiadły. Stało się to tak szybko, iż Ryniecki nie miał czasu podsypać drugiej panewki swojej, która mu zawiodła. Ogromny niedźwiedź leżał już nieżywy. Strzał Rynieckiego nie był śmiertelny, zdołowany w brzuch. Gdyby nie psy i moje dwa celne strzały, moglibyśmy przed śmiercią zrobić rachunek sumienia, zwłaszcza gdyby mnie był niedźwiedź w gawrze zastał. Opowiadał mi Ryniecki, iż po chwili, gdym się do gawry wsunął, przypadł niedźwiedź, wspiął się na zadnie łapy i z rykiem ruszył ku niemu. Dał ognia z jednej lufy, druga zawiodła, psy poczęły go targać, on w bok odskoczył, usiłując podsypać panewkę, ale w wzruszeniu wysypał proch z rożka na ziemię. Po takiej przeprawie, spodziewając się jeszcze spotkania z niedźwiedzicą, nie próbowaliśmy już sięgać po piastuny. Pozostawiwszy martwego niedźwiedzia, wróciliśmy do domu i wyprawili wóz z czterma wołami po naszą zdobycz. Parobek wpełzł do gawry, ale była pustą, zapewne samica wywiodła piastuny w miejsce bezpieczniejsze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POLOWANIE NA WILKI.

HUMORESKA.

Było to roku tysiąc ośmset... dokładnie daty nie pamiętam. Do dat mam wstręt wrodzony, bo one tylko człowiekowi przypominają że się starzeje. Otrzymałem zaproszenie na wielkie polowanie na wilki od mego przyjaciela pana Michała, a zresztą może i Michałem się nie nazywał, nazwisko nic tu nie ma do rzeczy, a *nomina sunt mihi odiosa.* Mój przyjaciel mieszkał w powiecie... mniejsza już którym, bo te wiadomości geograficzne nie są potrzebne do mego opowiadania, słowem tylko zaręczyć mogę, iż nie mieszkał po za granicami Królestwa Galicyi i Lodomeryi. Na dniu do zjazdu naznaczonym dojechałem koleją do stacyi, której nazwiska dziś już nie pamiętam, zastałem wysłany po mnie powóz z czwórką wybornych rumaków i w niespełna trzech kwadransach zajechałem przed gościnne progi mego przyjaciela. Pan Michał jest człowiek najmilszy w świecie, gospodarz najgościnniejszy, posiada śliczny pałac urządzony z angielskim komfortem, żonę podobną do anioła, dziatki podobne do cherubinów, lokai podobnych do ministrów i konie angielskie podobne do bocianów. Zasta-

łem tam już zebrane bardzo liczne grono myśliwych i niemyśliwych, kilka pań z sąsiedztwa, i wieczór spędziliśmy bardzo wesoło śród pogadanki i pląsów przy fortepianie, któremi z zapałem dowodził pan Alfons, słynny wodzirej tańców w stolicach rozmaitych części kraju naszego. Jako na wilię myśliwskiej wyprawy ta zabawa za długo zdawała mi się przeciągać. Ale cóż robić? Uprzejmość gospodarza za serce chwytała wszystkich i nikt nie miał cywilnej odwagi, aby pierwszy tak pożądane „dobranoc“ wygłosić. Bo też pan Michał, człowiek, jak to mówią, którego tylko przyłożyć do rany. Mimo wszelkich swoich zalet miał on jednak zawsze w oczach moich jedną cieniową stronę: oto był myśliwym od siedmiu boleści. Chodził na polowanie i dbał o zwierzostan w swych lasach, ale tylko jako sportsman, któremu obowiązki nakazują być myśliwym, ale prawdziwy znicz łowiecki nigdy nie umiał zatleć w sercu jego. Nie mogłem mu tego nigdy przebaczyć, bo w mej wyobraźni nie wiem już jakie inne zalety ten brak zapełnić potrafią. Niemyśliwy wydawał mi się zawsze jakimś moralnym, litość wzbudzającym kaleką. Nawet samego Mickiewicza o wiele wyżej byłbym cenił, gdyby się nie był naiwnie przyznał do tego, iż nieraz na polowaniu strzelbę położył pod krzakiem, przyglądał się chmurom, liściom i trawom, zwierza nie pilnował, tylko wiersze pisał podczas miotu. Ale zapomniałem wspomnieć jeszcze o jednej, nader sympatycznej osobistości, którą tam poznałem Był to kanonik z pobliskiego miasteczka, zagorzały myśliwiec, wzorowy kapłan. dobroczynny, przez wszystkich kochany, żadne polowanie w okolicy bez niego obejść się nie mogło. Bliski krewny Michała, młody Zdziś, którego kanonik chrzcił, był jego najlepszym przyjacielem, ale że to był figlarz nad figlarze, ciągle mu psoty wyprawiał. Już z wieczora wszyscy pomiarkowali, że Zdziś jakiś spisek knuje na kanonika i że jutro nas czeka jakieś niespodziewane widowisko. Nazajutrz nie bardzo rano, bo wybierania z domu przypomniały mi wyprawę Jazona do Kolchidy, zajechały przed ganek powoziki, wózki i wozy. Po długiem szukaniu to strzelb, to pokrowców, to płaszczów, to rękawiczek, które co chwila gdzieś ktoś był w swoim pokoju zapomniał, stanęło nareszcie całe myśliwskie grono przed gankiem. Jakież było moje przerażenie, gdy mi pan Michał wskazał miejsce na niesłychanie wysokim amerykańskim wózku, do którego zaprzężono parę młodych, nieujeżdżonych jeszcze folblutów angielskich, z których jeden ciągle dęba stawał i galopował, a drugi wierzgał. Na domiar nieszczęścia pan Michał sam osobiście miał być ich sternikiem, na wzór Apollina, w tryumfie Aurory. Nienawidzę wszystkich Jaśnie Wielmożnych furmanów. Z zazdrością spoglądałem na stojący z tyłu wóz prosty, słomą wyścielony, zaprzężony parą naszych poczciwych broniaków, i na głupkowate oblicze siedzącego tam na koźle fornala Hrycia, takie bowiem te oblicza we mnie wzbudzały zaufanie. Nie było jednak ratunku. Zebrawszy całe zasoby moich gimnastycznych zdolności, wgramoliłem się obok pana Michała na sam szczyt tej amerykańskiej szkatułki i bieguny Albionu rozpoczęły wnet swoją hecę. To unosząc, to wierzgając, to ustając w błocie, poniosły nas jak listek gnany uraganem do pasma lasów, które się ciągnęło od północy. Przed nami ukazała się już śród lasu obszerna łąka, a pośród niej leśniczówka, ocieniona świerkami. To miejsce zboru myśliwych i pogonki. Cóż za straszne rozczarowanie! Na miejscu zboru pusto, cicho i głucho, żywej duszy nie widać, tylko jakaś niewiasta przed drzwiami domu sypie ziarno kurom i kaczętom na wzór Zosi w „Panu Tadeuszu“, z tą tylko różnicą, że była starą i brzydką. To leśniczyna. Przestrach odmalował się na rysach pana Michała. Widoczne stało się bałamuctwo, ale z czyjej winy? Na zapytanie pani leśniczyna oświeciła nas na pół po czesku na pół po niemiecku, że jej mąż poszedł od rana na polowanie, ale nie wie dokąd. Struchleliśmy wszyscy. Pan Michał w gniewie piorunować zaczął na głupotę swego leśniczego, Czecha, który przecież jest uczniem szkoły z Mariabrunn i praktykował w dobrach księcia Schwarzenberga. Wszystko to nie pomogło, pogonki nie ma i nie ma. Nauczony długoletniem doświadczeniem, przywykłem się uzbrajać w niewyczerpany zasób cierpliwości, ile razy mnie spotyka przyjemność znajdowania się na polowaniu u niemyśliwego gospodarza. Nic mnie nie zadziwia, nic mnie nie zniecierpliwi. Ogół naszego myśliwskiego grona nie podzielał mego sposobu widzenia i z powozików, wózków i wozów zahuczały jakby szum nadchodzącej groźnej burzy, głośne szemrania narodu. Pan Michał mocno zgryziony, po chwili namysłu zakonkludował, że skoro leśniczy z pogonką nie oczekuje przy leśnictwie, to musi być przy chacie gajowego Mikoły. A to pół godziny jazdy. Raźnie zwrócił amerykański wózek, który omal że w tym gwałtownym zwrocie nie stracił równowagi, bo z linii wertykalnej przeszliśmy już prawie w zupełnie horyzontalną, ale jakoś wszystko do ładu wróciło i znaleźliśmy się na jakiejś leśnej niby to drodze, którą przed laty sągi wożono. Tu pan Michał zirytowany gniewowi swemu puścił wodze, a rozpuściwszy batog, cios, który w myśli przeznaczał swemu leśniczemu Czechowi, puścił między swoje angielskie rumaki. Butne dzieci Albionu wzięły na kieł i rozpoczęła się pomiędzy pniaki i gałęzie szalona gonitwa, przypominająca wielki bieg Derby. Wózek amerykański mimo naszej wagi brał z zadziwiającą lekkością wszystkie przeszkody, składające się z pniaków, kłód spruchniałych i stosów chrustu, równowagi i tu nie stracił całkowicie, a my z rozpaczą trzymając się naszych siedzeń, jak majtek szczytu masztu podczas rozbicia okrętu, zaczepialiśmy tylko od czasu do czasu kapeluszami i twarzą o konary drzew. Nie długo trwała ta jazda, bo nerwowe rumaki szybko spłonąwszy w swoim własnym ogniu, zreflektowały się i przeszły nagle w żółwi spokój, tak, że i na batog stały się nieczułymi, jak granitowa skała na uderzenie bałwanów. W skutek tej nagłej zmiany temperamentu reszta taboru wkrótce nas dogoniła i z tyłu idące dotąd broniaki zaczęły szydzić z wycieńczenia swoich albiońskich braci. Jadąc już żółwim krokiem, dobiliśmy nareszcie do chaty gajowego. Tu nowe rozczarowanie! Znowu ani leśniczego, ani pogonki, nawet żadnej pseudo Zosi z kurczętami i kaczętami, ażeby zasięgnąć języka. Więc znowu szmer złowrogi w szeregach, szmer, któremu przeciwstawiłem mój niezachwiany spokój rzymskiego senatora, lubo w duszy, wyznać muszę, kląłem na czem świat stoi. Znowu gniew i przekleństwa ciskane na Czecha z ust pana Michała, i konkluzya, że gdy zastęp myśliwski nie zebrał się ani na leśnictwie, ani u Mikoły, to musi być u gajowego Ilka. To znowu pół mili drogi! Nadzwyczaj wolno odbyliśmy już tę podróż, konie się pomęczyły, wyprawa przypominała pochód karawany na wielbłądach na puszczy. Jesienne słońce wskazywało już południe, a zegarki nasze to potwierdziły. Karawana cała stanęła nareszcie przed chatą gajowego Ilka i o radości! zastaliśmy tam w istocie leśniczego z pogonką. Nie nadmieniłem jeszcze, że do naszej karawany już w lesie przyłączył się zaproszony na polowanie sąsiad pana Michała, pan Aleksander, który się spóźnił także i przybył wózkiem węgierskim, w uprzęży bałagulskiej, z niezliczoną ilością przyczepionych dzwonków. Na polowanie na wilki to wynalazek jedyny! Pan Aleksander jest sławny niby to myśliwy. Powiadam „niby to“, gdyż niech

nas Bóg strzeże od podobnych myśliwych. Inne na to mamy miano, ale tego nie śmiem wymienić. Otóż pan Aleksander poluje przez rok cały. Ustawę łowiecką nazywa barbarzyństwem i mało na nią zważa. Sam posiada niespełna 100 morgów lasu, a jednak trzyma gończe i charty, bo jest namiętnym charciarzem i lisy wyszczuł w całej swej okolicy. Granica od sąsiada nie jest żadną dla niego zaporą, stąd częste miewał zatargi z okoliczną strażą leśną i polową. Kozy od rogacza rozpoznać nigdy nie umie, czy nie chce, stąd rozmaite zatargi ze starostwem. Polując na grubego zwierza w kulę nie wierzy i strzela zawsze do dzików lotkami. Pomimo wczesnej jesieni przybył w kożuszku i w czapce baraniej. Pan Michał przywitawszy przybyłego gościa, pobiegł cisnąć cały zasób swego nagromadzonego gniewu, jak Jowisz zebrane pioruny, na głowę swego leśniczego Mariabrunnera. Przez delikatność nikt z nas nie chciał być świadkiem tej groźnej sceny, usunęliśmy się więc wszyscy z dyskrecyą. Stało się bałamuctwo, to pewne, ale kto winien, czy pan Michał, czy leśniczy, to już po wieki tajemnicą pomiędzy nimi dwoma pozostanie. Leśniczy pana Michała zowie się Drabiczek czy jakoś podobnie. Jest to postać imponująca, wzrostu słusznego, ma wąsy i brodę, nosi strój popielaty z zielonymi wyłogami, kapelusz zielony z pióropuszem, kordelas z wyzłacaną rękojeścią i lankastrówkę Werlika. Prawdziwy to typ owego pośladu z nad brzegów Mołdawy, który wywiany ze swoich stron rodzinnych, spada na nasze zagony dla zagłady lasów i zwierzostanu. Są w tem wyjątki, nie przeczę, ale nigdy pojąć nie mogłem manii wielu właścicieli naszych obszernych rewirów, którzy na oślep tę czerń sprowadzali z zagranicy, gdy tylu naszych wykształconych, pracowitych i sumiennych leśników bez kawałka chleba pozostaje. Raz jeszcze powtarzam, iż są wyjątki, ale człowiek prawdziwie zasłużony w swoim kraju chleb znajdzie, nie mam więc zaufania do owych przybyszów, których tak często spotykamy w rewirach naszego kraju. Pan Drabiczek uporawszy się z nieporozumieniem, które zaszło między nim a jego chlebodawcą, a o którego wyniku nikt się nie dowiedział, przystąpił do urzędowego raportu. Po formie uchylając kapelusza, oświadczył panu Michałowi, że wedle rozkazu zebrał 50 ludzi pogonki, z których 20 rozeszło się, czekając aż do południa, myśląc, że już panowie na polowanie nie przybędą, że oszlakował sam osobiście w pierwszym miocie 7 wilków, dwadzieściacztery sztuk sarn, cztery lisy i czterdzieścipięć zajęcy. W drugim miocie są trzy wilki, sarn ośmnaście, między niemi cztery rogacze silne, a jeden szpiczak, do którego prosi panów by nie strzelali, dwa lisy i zajęcy trzydzieścitrzy. W trzecim miocie będą dwa wilki, sarn dwadzieściadwie, w tem rogaczy ośm, z których do pięciu tylko należy strzelać, bo reszta same szpiczaki, a zajęcy jest trzydzieścisześć. Ostatni zaś miot kręglak, śród pól, tam jest tylko zajęcy dwadzieściaośm, ale grubszego zwierza spodziewać się nie można. Wysłuchawszy z namaszczeniem tych szczegółowych raportów pana Drabiczka, nasunąłem z niedowierzaniem pewne powątpiewania co do cyfry zapowiedzianej nam zwierzyny, a obliczonej na czarnej stopie. Z góry spojrzał na mnie Mariabrunner, mając mnie za fryca, i oświadczył, że tu w Galicyi tylko na ponowie objeżdżacze tropić umieją, ale że on w dobrach księcia Schwarzenberga na czarnej stopie znał stan swojej zwierzyny i tu to samo pokaże. Zaimponował mi tak swą odpowiedzią pan Drabiczek, że skamieniałem. „Proszę panów na stanowiska!“ zawołał głosem naczelnego wodza — „pierwszy strzał do wilka.“ Porwaliśmy za strzelby i wszyscy byli gotowi, a pogonka na rozkaz leśniczego pod dowództwem gajowego Mikoły zachodzić poczęła. W gronie naszych myśliwych ujrzałem z przerażeniem pana Alfonsa, wczorajszego kierownika tańców, który mi oświadczył, iż nie jest myśliwym, ale tylko dla towarzystwa chodzi na polowanie. Miał na sobie paletot miejski granatowy, czarny kapelusz, kratkowane pantalony i kalosze na lakierowanych ciżemkach. Niewypowiedziany miałem zawsze wstręt do kaloszy, cóż dopiero na polowaniu? Pan Alfons miał pożyczoną od naszego gospodarza lankastrówkę i nową ładownicę. Patrząc na tę postać tak ujmującą w salonie, a tak wstrętną w lesie, pomyślałem sobie: „Oby mi tego Bóg nie dał za sąsiada na stanowisku!“ Mimowolny strach mię też przejmował, ile razy mój wzrok padał na baranią czapkę pana Aleksandra, który zachodząc na miot, ciągle śmiał się głośno i rozpowiadał swoje prawdziwe czy mniej prawdziwe przygody myśliwskie. Między kłusownikiem a niemyśliwym dla prawdziwego myśliwego wybór trudny. Stanęliśmy wreszcie na szerokiej linii i zaczęto rozstawiać strzelców. Pan Drabiczek cudów dokazał w istocie, stanowiska zastaliśmy numerowane, a przed każdem była wystawiona budka z choiny, urządzona z niezwykłym komfortem. Była tam i wygodna ławka do siedzenia i strzelnica przerąbana. Pan Drabiczek rozstawiał strzelców. Zarekomendowany specyalnie przez pana Michała jako gość przybyły z najdalszych stron, otrzymałem stanowisko nr. 7, które mi wskazując, oświadczył pół głosem pan Drabiczek, iż tu wyjdą cztery wilki, a potem trzy stada sarn z trzema rogaczami starymi, będą też dwa szpiczaki, do których prosi nie strzelać, ażeby nie psuć stanu sarn w rewirze; wyjdą potem dwa lisy i szesnaście zajęcy, bo on zna najdokładniej stan zwierzyny w każdym miocie. Uwierzyłem. Stałem jak posąg, wyczekując oczywiście naprzód zapowiedzianych wilków. Jeszcze słyszeć się nie dał sygnał wzywający pogonkę do rozpoczynania gonu, gdy padł strzał na prawo odemnie z najbliższego stanowiska. Oczywiście wilki się wynoszą, zasłyszawszy zachodzącą pogonkę. Stojąc nieruchomo z przygotowaną bronią, rzucam okiem na prawo i spostrzegam mego sąsiada pana Alfonsa w paltocie z wzniesioną do góry strzelbą, z której lufki dymiło się jeszcze. Zawsze miły, grzeczny i uprzejmy pan Alfons widocznie spostrzegł moje zdziwienie i chcąc mnie uspokoić, najuprzejmiej bardzo głośno zawołał: „To nic, to moja strzelba tak sama wystrzeliła!“ Tego rodzaju samopał jest to wynalazek jedyny na wilcze polowanie. Po chwili odezwał się chrapliwy głos pistonowej trąbki pana Drabiczka, a wkrótce usłyszano przeraźliwe krzyki pogonki. Baczność więc, wilki lada chwilę się ukażą. Ale mija minuta po minucie, na linii strzelców głucho, żywa istota nie okazuje się na horyzoncie. Wprawnem uchem myśliwskiem rozpoznałem wkrótce po hałasie naganiaczy, że pogonka zmyliła kierunek i całą masą uderzyła na lewą flankę tak, że nasza linia główna jej flanką się stała. Znowu bałamuctwo. Strzelcy opuścili swe stanowiska, udając się na lewe skrzydło, gdzie rozwścieklony Mariabrunner czynnie gromić zaczął swoich dwóch wassalów, gajowych Mikołę i Ilka, przypisując im całą winę. Gajowi obydwa ze sztuczną fluksyą jeden na lewej drugi na prawej stronie twarzy, bo pan Drabiczek widocznie zrobił na nich *coup-double* pięścią, przysięgali, że są niewinni, bo pan leśniczy nie wytłumaczył im, gdzie panowie stać będą i gdzie ma wyjść pogonka. W odpowiedź na ich żale pan Drabiczek piorunując na to bydło galicyjskie, powtórzył *coram populo* swoje *coup-double* odwrotnie i obaj gajowi z podwójną sztuczną fluksyą na miot drugi poprowadzili pogonkę. Drugi miot kubek w kubek podobnym był do pierwszego, z tą tylko różnicą, że już nie zagrzmiał samopał pana Alfonsa i że pogonka cała już

nie na lewą, ale na prawą wyszła flankę. Nie wiem, jakie tam zaszły wyjaśnienia między panem Drabiczkiem a jego wassalami z powodu tego nowego bałamuctwa, dość że nikt nic a nic nie widział. W trzecim miocie wyprosiłem sobie u naszego gospodarza flankowe stanowisko w przekonaniu, że przy tego rodzaju organizacyi będzie to jedyny jeszcze możliwy sposób spotkania się ze zwierzem, jeśli jaki jest w kniei Niedoświadczony! nie wiedziałem tego, że przebiegły Mariabrunner znając dobroć i brak zmysłu myśliwskiego swojego chlebodawcy, wspólnie ze swoimi gajowymi od dwóch lat się starał, by zwierzyna niegdyś obfita w tych rewirach, na drobne zmieniana, nakarmiała urzędników i inteligencyę miasteczek okolicznych. Na rozkaz pana Michała zaprowadził mnie pan leśniczy na prawe skrzydło, obok mnie postawił pana Aleksandra, który zawsze w kniei strzela lotkami, a sam stanął o jedno stanowisko dalej. Na dany sygnał gon się rozpoczął i oczywiście pogonka znowu zamiast nas flankować, wprost na nas pogoniła. I — o dziwo! zaledwie oczom uwierzyłem — coś zaszarzało w gąszczu i stara matrona rodu sarniego, jedyna w tych rewirach reprezentantka tej zwierzyny, stanęła przedemną. Całą jej rodzinę wymordował już Mariabrunner, więc zrozpaczona wdowa, szukając śmierci, rzuciła się ku jego stanowisku, widząc że ja na nią patrzę obojętnie. Minęła pana Aleksandra i między nim a panem Drabiczkiem wypadła na linię. Ten ostatni zawołał: „Ein Bock! ein Bock!“ i równocześnie zagrzmiała rusznica pana Aleksandra, ale lotki jego widocznie utworzyły wianek w około kozy, pośrodku którego ona w całości pozostała. Jedna lotka jednak trafiła, ale na szczęście nie kozę, lecz łydkę Mariabrunnera. Pan Drabiczek w górę poskoczył, jak Mefistofeles po kąpieli w święconej wodzie, i zawołał z przerażeniem: „O Herr Gott!“ potem ręką chwycił się za chorą nogę i stał przez chwilę na jednej nodze jak bocian na gnieździe. Pan Aleksander na to wcale nie zważał i w zapale zaraz pogonił za swą zdobyczą w przekonaniu, że ją postrzelił. Miłością bliźniego pędzony, podbiegłem do pana Drabiczka, który but zrzuciwszy, przekonał się na szczęście, że Lefauchetka pana Aleksandra piorunująco nie bije lotkami, ołów bowiem nie przebił nawet juchtowej skóry, a na nodze widny był tylko siniec fioletowy. Takie uderzenie, choć niewinne, bardzo jest bolesne, a więc pan leśniczy z gęstą miną poszedł dalej kulejąc, jak Twardowski na Krzemionkach. Na obszernej łące zeszli się wszyscy myśliwi, z wyjątkiem pana Aleksandra, który po chwili rozgorączkowany, zegrzany, z baranią czapką w ręku, z czołem okrytem potem, nadszedł także i zaczął opowiadać z zapałem, że postrzelił ślicznego rogacza, ale z powodu czarnej stopy znaleźć go nie mógł. Ja, który o kilka kroków to zwierzę miałem przed sobą, nie wygadałem się oczywiście przed nikim, co to był za rogacz. O wypadku pana Drabiczka też nie było mowy. Gdyśmy tak stali zebrani na łące, ukazał się w dali na gościńcu powóz jeden i drugi. To nad wyraz wszelki miła i gościnna pani Michałowa z dziećmi i z kilkoma sąsiadkami przyjechała z śniadaniem do lasu, by nakarmić strudzonych i zgłodniałych myśliwych. A więc słyszeć się dały głośne okrzyki radości i wiwaty, które byłyby starczyły, aby wilki z całego powiatu wystraszyć. Śniadania opisywać nie będę; było sute, może dziesięć razy zanadto sute, jak na przekąskę myśliwską, tak iż do niego zastosować śmiało można wierszyk:

I tak sam sobie zadaję pytanie,
Czy to jest obiad, czy to jest śniadanie.

Niczego tam nie brakło, chyba zupy z żółwia, a na zakończenie lodów, by to śniadanie było obiadem *aux frères Provenceaux.* Lało się wino Bordeaux, Burgundzkie i Szampańskie. Wesołe towarzystwo pań dokazało reszty, wino w głowie szumieć zaczęło. Ach! i to są głowy!? Podczas śniadania Zdziś figlarz niepoprawny, myśląc wciąż o nowym figlu dla kanonika, skorzystał z dobrej chwili i gdy poczciwy kapłan zajęty był około skrzydła wytuczonego kapłona, którego polewał lampką starego Burgunda, wykradł mu ładunki z ładownicy. I co ten facet uczynił? Przywiózł sobie był z Wiednia od Maurera ładunki fajerwerkowe z rakietami, więc wykręciwszy śrót, te szatańskie przyrządy nieznacznie powkładał w ładunki biednego kanonika. Po skończonem śniadaniu panie odjechały do domu, życząc nam szczęścia do dalszych łowów i prosząc, byśmy się nadto na objad nie spóźniali. Nastrój nader był wesoły w całem towarzystwie, nie wiem czemu to przypisać, czy winu, czy animuszowi myśliwskiemu. Wedle programu mieliśmy już tylko do wzięcia miot jeden, to jest ten krąglak w polu, w którym wedle horoskopów stawianych przez pana Drabiczka, prócz zajęcy na żadną grubą zwierzynę liczyć nie można, a więc jak zwykle w takich razach skrupi się na zajączkach. Rozstawiliśmy się więc w tym ostatnim miocie. Na nieszczęście moje mym sąsiadem na lewo był pan Aleksander, na prawo pan Alfons. Gon się rozpoczął, oczekiwałem jak było zapowiedziane, tylko biednego szaraka Wtem na podniosłym lesie o stopięćdziesiąt kroków przedemną coś zaszarzało i ogromne wilczysko staje i nadsłuchuje. Mimo hałasu i krzyku w pobliskich miotach, widocznie obżarte zwierzę zatrzymało się w tym krąglaku. Dech zaparłem w sobie i nieruchomy stałem jak posąg. „Pilnuj wilka!“ wrzasnął na całe gardło mój sąsiad pan Aleksander. Więcej nie trzeba było! Wilk na zawsze dla mnie zatonął w gęstwinie, party jednak przez pogonkę, powrócić znów musiał na swój szlak, lecz już nie na mnie, ale na mego sąsiada, pana Alfonsa Wyszedł mu na łąkę na kroków kilkanaście. Obie lufy zawiodły i wilk wrócił ku pogonce. Samopał pana Alfonsa, który tak niepotrzebnie zagrzmiał w pierwszym miocie, wymówił mu posłuszeństwo w tak stanowczej chwili. Jakiż tego powód? Oto wyznał nam naiwnie po skończonem polowaniu, że po owem wesołem śniadaniu idąc na stanowisko, zapomniał do strzelby włożyć ładunki. *Errare humanum est.* Tak dwa razy przestraszony wilk ciągle party przez pogonkę, po raz trzeci spróbował szczęścia i pogonił wprost na stanowisko kanonika, który w skutek żartu Zdzisia już w strzelbie nie miał śrótu, ale rakiety. Kanonik, wytrawny myśliwy, obaczywszy na sztych idącego zwierza, przypuścił go bardzo blisko i wymierzywszy między same oczy, wystrzelił. Kilkanaście różnobarwnych gwiazd wyleciało z lufy, a za niemi raca płomienna pogoniła z sykiem i nad grzbietem wilka zatonęła w krzakach. Zwierz przerażony tym niespodzianym kursem astronomii, jak szalony wpadł w gęstwinę, przedarł się przez pogonkę i znikł dla nas *in omnia saecula saeculorum.* Biednemu kanonikowi strzelba z rąk wypadła i przeżegnał się: „W imię Ojca i Syna i Ducha świętego. A cóż to za strzał?“ Na tem się skończyło nasze wilcze polowanie. Powozy zajechały.

Czas do domu, czas,
Zabawili nas!

Wsiadłem znowu obok pana Michała na sam wierzchołek tej przestraszająco wysokiej szkatułki amerykańskiej i znowu jego folblutami dążyliśmy do domu. Z początku było jakoś pół biedy, ale gdyśmy wjechali na fatalną grobelkę, na której jest most, pan Aleksander w wiecznej emulacyi z panem Michałem co do rączości i wytrzymałości koni, tu koniecznie chciał nas wyprzedzić swoją czwórką bałagułów. Udało mu się

to wyśmienicie, wyprzedził nas, a nasze folbluty spłoszywszy się dzwonków, w bok skoczyły. Amerykańska szkatułka już nie była w możności utrzymania się w linii wertykalnej i wszyscy runęliśmy z tej wysokości wraz z wózkiem i końmi z grobelki w głębokie bagno. Szwanku na szczęście nikt nie poniósł, wyszliśmy tylko wszyscy jakby z błotnej kąpieli w Gastein lub Piszczanach. Tylko moja kochana, ulubiona iglicówka, którą śród katastrofy tej tuliłem do łona, jak matka najdroższe swe dziecię, uderzyła o pień wierzby i łoże jej rozleciało się w kawałki. Zabłoceni i lekko potłuczeni, piechoto zaszliśmy do domu. Nazajutrz pan Michał chciał mnie jeszcze zatrzymać u siebie na polowanie w innym rewirze, w którym bardzo wiele ma być zwierzyny. Wymyśliłem oczywiście jakieś ważne zatrudnienie autonomiczne, które mi to uniemożliwia, gdyż tu idzie o sprawę ogółu, i poprosiłem o konie na kolej. Wyjeżdżając odmawiałem modlitwę tej treści: Od powietrza, głodu, ognia, wojny, a na polowaniu od właściciela niemyśliwego, od angielskich folblutów i od leśniczego Mariabrunnera — zachowaj nas Panie!

KORESPONDENCYE.

Ustyanowa, Marzec.

Przesyłam kilka uwag o niektórych paragrafach naszej ustawy łowieckiej. Zaczynam od tego, co nam najwięcej dokucza, bez czego nigdy łowiectwo nasze nie stanie na stopie kwitnącej. a tem jest obecny sposób wydzierżawiania polowań gminnych. Przypatrzmy się, jak się ono odbywa: Ogłoszona licytacya, dzień naznaczony nadszedł, w biurze urzędnika prowadzącego licytacyę zebrało się dosyć osób, bo ma być wydzierżawionem polowanie na niezłym terenie, dotykające do polowania dworskiego, prowadzonego wzorowo, a więc jest właściciel wspomnianego obszaru dworskiego, jest jeden i drugi sąsiad, jest kilku urzędników autonomicznych i nieautonomicznych, jest kilku kupców korzennych i niekorzennych, jeden kowal, jeden powroźnik i paru jeszcze innych. Licytacya zaczyna się, wywołano 5 złr. — „daję 10“ — „daję 15“ — „20“ i t. d. doszło do pięćdziesięciu i wziął kupiec korzenny, a wziął nie dla własnej przyjemności, on już naprzód rachuje, ile to weźmie reńszczaków od amatorów przechadzki niedzielnej ze strzelbą za każdy spacer po zadzierżawionym terenie, będzie to bezprawie, ale ktoby go tam o taką drobnostkę skarżył, zresztą któż będzie o tem wiedział. Jest to jedna strona medalu, teraz druga. Właściciel obszaru dworskiego zadzierżawił polowanie gminne na lat 5, bo tylko na taki przeciąg czasu mogą urzęda polityczne zawierać kontrakta. Wyciągnął się jak struna, pędzony przez licytantów, wyciągnął się, bo chodziło mu o własną skórę, gdyż na jego to głównie zwierzynę, wybiegającą po za granicę, liczyli pędzący. Rad pomimo nadszarpanej kieszeni przyjeżdża do domu i pierwszą czynnością jego jest szczegółowe zrewidowanie zadzierżawionego obszaru. Wszędzie pusto, najładniejsze stare, przerosłe, skibiaste role próżne, krzaki w parowach również, las nie cierpi zupełnie na przeludnienie, w ogóle na całym obszarze znajduje zaledwie dwa czy trzy stadka kuropatw i kilka zajęcy, o sarnie ani słychu. Zabiera się zatem do kultury, strzela psy i koty, dotąd spokojnie buszujące po polach, wchodzi z tego powodu w kolizye z gminą, nie poluje przez trzy lata, zakłada w lesie lizawki w lecie, w zimie siano i koniczynę, na pola w zaspy każe wynosić paszę dla zajęcy, poślady dla kuropatw, po długich mozolnych i kosztownych usiłowaniach dochodzi do wcale niezłego zwierzostanu i w czwartym i piątym roku dochód z zwierzyny już prawie wyrównywa rozchodom bieżącym. Kończy się rok piąty, a zatem i ostatni czasu dzierżawy, dzierżawca ufny w swą dobrą gospodarkę chce oparłszy się na paragrafie 10tym rozporządzenia z dnia 15. Grudnia 1852 r. wziąć na następne pięciolecie, lecz ustawa powiada: „po wysłuchaniu gminy dotyczącej“, gmina zaś pamiętna, że dzierżawca jej psy i koty wystrzelał, że nie pozwolił wybierać jaj kuropatwich i przepiórczych, że karał sądownie za chwytanie i przetrzymywanie w beczkach i pakach młodych zajączków, że kowala, wielką powagę wioski, zamknął za kłusownictwo na 3 dni w areszcie i naraził go na utratę strzelby i t. d., a w dodatku wójt dostał kilka reńskich a radni po parę kieliszków wódki od pana A. za to, aby nie godzili się na dotychczasowego dzierżawcę, więc stanowczo oponują przedłużeniu kontraktu i licytacya rozpisuje się na nowo, na której obecny dzierżawca chcąc się utrzymać, musiałby bajeczną sumę zapłacić, gdyż teraz nie chodzi już o wystrzeliwanie przechodniej zwierzyny, lecz teren zawiera swoją własną i to w poważnej ilości i jakości. Szanuj tu zwierzynę przy takich stosunkach obszarów gminnych, szanuj na to, aby po latach paru, kiedy się jeszcze ani czwarta część kosztów nie wróciła, zapłacić bajeczną sumę, chcąc się utrzymać, lub patrzeć, jak ktoś niszczy, coś ty przysporzył. Widzę na powyższe niewłaściwości te tylko sposoby: 1. wydzierżawianie polowań gminnych na czas przynajmniej 20-letni, 2. bezwarunkowe trzymanie się §. 2. ustawy z dnia 7. Marca 1849 r., tak często pomijanego przez urzędników prowadzących licytacye, 3. orzekanie nie przez gminę, niemającą zwykle pojęcia o stosunkach łowieckich, lecz przez znawców do tego wyznaczonych, czy dzierżawcy, któremu termin upływa, wypuścić na dłuższy czas lub nie, 4. czuwanie nad wypełnianiem punktów kontraktu, zawartego przez dzierżawcę z gminą przy zalicytowaniu polowania, w których to punktach zawsze powinno być zamieszczonem szanowanie zwierzyny i wybijanie takowej tylko racyonalne, 5. aby ludziom nieobznajomionym z hodowlą zwierzyny i nie dającym rękojmi opieki nad nią, polowań stanowczo nie wypuszczać. Co do ostatniego punktu, mieszkając w Krakowskiem, miałem dosyć często sposobność przekonać się, że polowania, będące w posiadaniu rzemieślników z Krakowa, przedstawiały stan najokropniejszy. Pan majster z znajomymi i czeladnikami buszowali co niedziela i święto, nieraz na obszarze 500 morgowym chodzilo ich po 10 i 12tu, cały tydzień zaś polowanie było bez najmniejszej opieki i kto tylko chciał mógł swobodnie polować; drugi znów majster brał polowanie tylko na to, aby tym, którzy mu robotę dawali, pozwalać z grzeczności polować; inny jak wyżej wspomniałem wydzierżawiał na to jedynie, aby za opłatą 1 złr. pozwalać zapolować temu i owemu i trzeba mu przyznać, że miał zmysł spekulacyjny niezły, gdyż nie mało reńszczaków kapało do kieszeni, wszelkie skargi na to nic nie pomogły, nie było dowodów.

Władze powinny więcej uwagi zwracać na trzymanie strażników zaprzysięgłych do polowania, bo chociaż ustawa powiada, że właściciele i dzierżawcy powinni pod karą utraty swych praw trzymać wyżej wspomnianych strażników, jednak

bardzo mało kto się do tego stosuje, a władze dotąd patrzą na to przez palce.

Zdaje mi się, że byłoby wykonalnem i praktycznem, aby w każdym powiecie byli wybrani czy przez władzę polityczną lub przez Towarzystwo łowieckie wytrawni a znani myśliwi, którzyby czuwali na mocy nadanego im prawa nad właścicielami i dzierżawcami polowań, aby ci prawa swe wykonywali prawnie i uczciwie, którzyby popierali dobre chęci i zamiary korporacyj i jednostek i którzyby stanowili, komu polowanie wydzierżawić lub nie. Tyle co do wydzierżawiań polowań; poruszę jeszcze sprawę Kalendarza myśliwskiego.

Kraj nasz, jako położony na różnych wysokościach nad poziomem morza, różną też ma temperaturę. Kiedy w Rzeszowskiem zaczynają wiosenne siewy, to na Podolu są już w połowie tychże, a w górach sanockich i turczańskich jeszcze śnieg leży; kiedy w Krakowskiem kończą żniwa, wtedy w górach je zaczynają i t. d. Ten sam stosunek zachodzi i ze zwierzyną. Weźmy niektóre gatunki szczegółowo: Zając, czas szanowania oznaczony ustawą od 1. Lutego do 15. Września, dla okolic ciepłych, niżej nad poziomem morza położonych, powinien być od 1. Stycznia do 1. Września, a dla wysoko położonych od 15. Lutego do 1. Października. Kozioł (rogacz), dlaczego wolno go strzelać w Lipcu, Sierpniu, Listopadzie i Grudniu, t. j. w czasie rui stanowczo nieoznaczonej, kiedy właśnie w tym czasie potrzebuje największego spokoju do odbycia rui — a nie wolno w Marcu i Kwietniu? Jeleń, najwięcej bity na rykowisku, najprzyjemniejsze to polowanie, ale czy rozsądnie postępujemy, przeszkadzając mu w rui, zresztą jak się u nas przeważnie poluje na jelenie, z psami, a te rozganiając czułe pary i goniąc aż do całkowitego prawie ubezwładnienia, tępią je i narażają łanie w najlepszym razie na bezpłodność. Takiej przeszkody w rykowisku stanowczo tolerować nie można. Słonki w górach całkiem prawie a przynajmniej bardzo rzadko na ciągu mogą być strzelane, a to z tego prostego powodu, że do 15. Kwietnia tam się jeszcze najczęściej ciąg nie rozpoczął, jak n. p. w roku ubiegłym pierwszą słonkę w naszych górach sanockich widziałem dopiero dnia 8. Maja. Jarząbek parzy się dopiero od połowy Marca, w górach dopiero od Kwietnia, a już w Lutym strzelać go nie wolno. Przepiórkę ustawa pozwala strzelać już od 15. Lipca; jest to czas, kiedy się najsilniej lęgną i kiedy jeszcze w $^3/_4$ części w Galicyi zboże na pniu stoi. Ptactwo wodne wolno bić od 15. Czerwca, aleź n. p. kaczki w tym czasie najczęściej dopiero wywodzą z gniazd swe młode; gdyby ustawa zastrzegała, że tylko kaczory wolno strzelać, to prędzej na to zgodzić by się można, ale ustawa daje ogólne pozwolenie i bije się matki od małych, zostawiając je na bezwarunkowe wygubienie. Z ptactwa błotnego chruściel (derkacz) jako ptak oddający niezmiernie wielkie usługi rolnikowi, powinienby być trochę więcej wzięty w opiekę i nie mordowany jak dotąd, strzał to łatwy, więc ponętny dla myśliwych krwiożerczych. Twierdzę, że kalendarz myśliwski nie powinien być jednakowy dla całej Galicyi; Galicya cała powinna być podług mych zapatrywań podzieloną na trzy myśliwskie rejony i trzy też powinny być kalendarze, każdy odpowiadający swej miejscowości. Ustawa nie wspomina o bocianie ani wronie, dlaczego? Pierwszy choć tak często opiewany przez naszych poetów i czczony przez lud, zasługuje być policzonym do rzędu najgroźniejszych drapieżników, natomiast druga dosyć przez myśliwych prześladowana, powinna być z powodu ogromnego niszczenia pędraków (gąsienicy chrabąszcza) i innych gąsienic, podgryzających korzenie zbóż i okopowych, w większem poszanowaniu. Przypatrzmy się na wiosnę, zaledwie pług pierwszą skibę ziemi odrzucił, już wrona krok w krok za nim chodzi z wzrokiem utkwionym w ziemię i co chwila schyla dziób, aby podjąć i zjeść upatrzonego szkodnika. Prawda, że potrafi ona z gniazda młode ptaszęta wyjeść i jaja wypić, i że czasem porwie naszym gosposiom kaczę lub kurczę, lecz wybaczmy jej to, bo nieraz też obroni przed jastrzębiem kuropatwy i naszych domowych skrzydłaczy, ostrzegając ich krakaniem o niebezpieczeństwie.

Wypowiedziałem moje zapatrywanie na niektóre paragrafy ustawy i będę bardzo szczęśliwy, jeżeli one posłużą przy rewizyi ustaw; to pewne, że poprawa naszych stosunków łowieckich potrzebuje szybkiego i energicznego ratunku; dużo już zrobiono, lecz jeszcze dużo zrobić można.

Wł. Zaleski.

Lwów, Marzec.

Walne Zgromadzenie gal. Towarzystwa łowieckiego z d. 14. Października b. r. poleciło swemu Wydziałowi zająć się: 1. obmyśleniem skutecznych środków przeciw kłusownictwu w naszym kraju, 2. wskazaniem sposobów, jakimi i w której porze roku należy wystrzeliwać stare, niezdolne do rozpłodu kozy (sarny). Mając zaszczyt należenia do Towarzystwa łowieckiego, ośmielam się poddać pod rozwagę sz. Wydziału moje w tym względzie uwagi. Zbytecznem byłoby rozwodzić się nad pożytkiem rozmnożenia zwierząt łownych, nadto bowiem wiadome, że zwierzyna łowna daje prócz przyjemności niemały też dochód. U nas jednak tak nie jest; jakkolwiek kraj nasz w wielu względach naznaczył już widoczny postęp, to co do łowiectwa wiele pozostaje do życzenia. W innych krajach monarchii austryackiej, jak w Austryi, Tyrolu, Czechach, łowiectwo stanowi jedną z gałęzi ogólnego gospodarstwa krajowego i poważnie jest traktowane, doznając opieki rządu i władz autonomicznych, my dopiero od niedawna dążymy ku temu. Miałem sposobność bliżej przypatrzyć się gospodarstwu łowieckiemu w Czechach; zaiste może ono nam służyć jako wzór godny naśladowania. Głównem zadaniem jest hodowla i konserwacya zwierząt łownych, na to też szczególnie zwrócę uwagę. Hodowla zwierząt łownych znacznie mniejszych wymaga starań i kosztów, jak chów zwierząt domowych. Jeżeli ma przynieść istotne korzyści, powinna być wykonywana przez wszystkich właścicieli obszarów, tak dworskich, jakoteż gminnych. Gdy jedni wprowadzają u siebie rozumne i umiejętne gospodarstwo łowieckie, a sąsiedzi ich, zwłaszcza posiadacze mniejszych obszarów, bezwzględnie i o każdej porze tępią zwierzynę, to do zamierzonego celu dojść niepodobna. Jakiż rezultat może dać najgorliwsze usiłowanie jednostek wobec nieoględności i bezrozumnego działania ogółu? Wszelkie trudy i koszta pierwszych są daremne, bo skrzętnie gromadzone przez nich bogactwo trwonią lekkomyślni, nierozumni a często niegodziwi sąsiedzi. W Czechach, gdzie, jak świadczy statystyka, najbogatszym jest zwierzostan w całej Europie, zaprowadzili wszyscy bez wyjątku właściciele większych i mniejszych obszarów hodowlę i umiejętną konserwacyę zwierząt łownych. Stąd wynikło, że owa hodowla bardzo małych wymaga kosztów, a w skutek ścisłego wykonywania ustaw łowieckich rozmnaża się bardzo ogólny zwierzostan, który daje znaczne dochody tak posiadaczom wielkich obszarów, jakoteż gminom, wydzierżawiającym prawo polowania. Gmina Novi Pless brała w roku 1861 za obszar 300-morgowy 800 złr. od dzierżawcy hr. Harracha. Wziąłem udział w urządzonem tam polowaniu, w przeciągu jednego dnia (22. Grudnia) padło za-

jęcy przeszło 500, kuropatw około 400, i to tylko w polu, na obszarach gminnych. Licząc zająca po 80 ct., kuropatwę po 50 ct, dało jedno polowanie niemal 600 złr., a takich polowań było więcej z mniej lub więcej świetnym rezultatem, bez uszczerbku dla przyszłego zwierzostanu. Administracya nie wiele kosztowała, bo oddaną była straży lasowej, więc dzierżawca obok przyjemności miał znaczną korzyść, a gmina nie mały dochód. Inne gminy, jak mi dobrze wiadomo, pokrywały wszelkie podatki dochodem z dzierżawionego prawa polowania. Czyż fakta te nie są zachęcające, dlaczegożbyśmy do takich rezultatów dojść nie mogli? Brakuje nam chyba dobrej woli, energii i wytrwałości w utrzymaniu racyonalnego łowiectwa i w ścisłem przestrzeganiu ustawy. Nie pojedyńczy właściciele obszarów łownych, lecz ogół cały musi się przejąć przekonaniem, że tylko tą drogą dojdziemy do celu. Zwierzyna u nas narażona jest na prześladowanie ze wszystkich stron, a mianowicie kłusownicze. Niech i w tym względzie służą nam za wzór Czechy. Tam wszyscy są czujnymi stróżami zwyczajów i prawa, więc kłusownictwa prawie nie ma, a kto się go dopuszcza, tego potępia opinia publiczna, a karze władza. Tam kłusownik uważany za pospolitego złodzieja, każdy go ściga i oddaje sądowi. My w tym względzie uwodzimy się jakąś fałszywą ambicyą, uważamy za hańbę stać się donosicielem, stąd wynika, że kłusownictwo u nas dotąd grasuje, bo proteguje je własna nasza tolerancya, a za tem idzie, że i władze mniej sprężyście strzegą prawa. Podrzędna nasza straż leśna często sama bierze czynny udział w wyprawach kłusowniczych już to dla zysku, już z powodu sympatyi dla kłusowników, najczęściej z tej samej warstwy pochodzących. Pojęcie naszego ludu o prawie własności graniczy z komunizmem, zwierzynę uważa lud za własność wspólną, więc sięganie po nią nie nazywa przestępstwem, a takiemi zasadami przejęci są również niżsi strażnicy lasowi, którzy zresztą wcale nie znają ustawy łowieckiej. Nader słusznym był przeto wniosek p. Glanza, poparty energicznie przez p. Strzeleckiego, aby straż polowa i leśna dworska czy gminna obowiązaną była wykazać się znajomością i zrozumieniem ustawy łowieckiej. Sądzę, iż przyczyniłoby się to znacznie do wytępienia kłusownictwa. C. k. Starostwa przy zaprzysiężeniu straży powinny poddać ją egzaminowi, boć przecież przysięgą stwierdzić można tylko to, co się zna i rozumie. Niezaprzysiężony strażnik nie powinien mieć wiary wobec władzy.

O sposobach hodowania zwierzyny mamy fachowo traktowane dzieła. Konserwacya polega na szanowaniu jej, na wstrzymywaniu zapędów wszelkiego drapieżnictwa od zwierząt czy też od ludzi. Zwierzęta drapieżne tępić należy, poskramiać kłusowników wszelkiego rodzaju, czy to samowolnie wdzierających się w prawa cudzej własności, czy też nie przestrzegających tylko ustawy łowieckiej, a takich mamy niestety w każdej naszej warstwie społecznej. Środki dążące ku temu ośmielam się przedłożyć. Dobra to przypowieść niemiecka: „Wo kein Hehler, dort kein Stehler“. Da się ona zastosować szczególnie do naszego ludowego kłusownictwa. Wieśniak oddaje się mu jedynie dla zysku, ubitą zwierzynę sprzedaje po miasteczkach lub karczmach żydom, którzy jej sami nie spożywają, bo ona nie zarżnięta przez „schlächtera“, więc kupioną za bezcen odprzedają nabywcom, których nie brak. Są nimi intelligentni mieszkańcy miasteczek, a szczególnie urzędnicy rządowi i autonomiczni, którzy przecież powinni wiedzieć, że żyd nieprawnym jest owej zwierzyny posiadaczem, i istotnie znają doskonale źródło jej nabycia. Jest to lekceważeniem prawa, lekceważeniem moralności, cóż więc dziwnego, że za tem idzie deprawacya ogólna, a w szczególności najniższej warstwy społecznej, nad której umoralnieniem któż ma pracować, jeżeli nie prawdziwa inteligencya. Jak zaradzić temu? Jeżeli poczucie obywatelskie szanowania cudzej własności, strzeżenia moralności ogólnej, nie pobudza do ścisłego przestrzegania ustaw, to władza, mająca moc wykonawczą, powinna zmuszać ogół do ich szanowania. Słusznie przeto wniósł p. N. Sarnecki, iżby Towarzystwo łowieckie wniosło podanie do c. k. Namiestnictwa, wymagające, aby ono objaśniło c. k. Starostów, jak mają interpretować ustawę łowiecką i jakie na przestępców wymierzać kary, dotąd bowiem liczne zacytować można wypadki dowolności i lekceważenia Wspólnie z c. k. Starostwem mogą i powinni delegaci Towarzystwa ważne usługi przynieść krajowi, z większą jak dotąd energią tępiąc kłusownictwo, a to w łatwy wcale sposób. W każdym powiecie nie mało jest członków Towarzystwa, których pomocy użyć powinni panowie delegaci w celu zapobieżenia w niszczeniu zwierzyny łownej. Członkom tym, jakoteż ich oficyalistom, dobrze znani są ludzie, których rzemiosłem stało się kłusownictwo. Możnaby więc ułożyć spis tych drapieżników i podać władzy, która poleci c. k. żandarmeryi i zaprzysięgłej straży lasowej i polowej, iżby śledzili na każdym kroku owych przestępców, broń odbierali i prześladowali kłusowników bez względu na ich stanowisko w społeczeństwie. Prócz kłusowników nie małą też zwierzynie wyrządzają szkodę psy i koty domowe. Wprawdzie ustawa nakazuje trzymać psy na uwięzi, ale prawo to nie osięga należytego skutku, bo pies włościański, źle karmiony, puszczony wolno a wygłodzony, szuka po za domem pożywienia, a znajduje je niezbyt trudno w zwierzynie czworonożnej i skrzydlatej, podkradając się szczególnie lisim sposobem pod gniazda i siedziska ostatniej. Doskonały wiatr jest mu przewodnikiem śród najciemniejszej nocy. Nawet zająca i sarnę młodą zdoła pochwycić. W Czechach, Austryi, Prusiech wyraźnie przykazuje ustawa, aby zagroda domowa była w takim stanie, iżby pies po za obręb podwórza wydostać się nie mógł, to też nie ma tam psów włóczących się po polach. W takim tylko razie strzelanie psów na polu lub w lesie jest istotnie pożyteczne, u nas zaś, gdzie pies z zagrody włościańskiej z łatwością wyjść może — barbarzyństwem.

Wniosek Eksc. hr. Włodzimirza Dzieduszyckiego, przedłożony Walnemu Zgromadzeniu, „tworzenia po miastach i miasteczkach składów zwierzyny w celu poskromienia kłusownictwa, ułatwienia nabycia tej zwierzyny i normowania jej ceny“, uważam za nader pożyteczny. Naturalnie każdy skład taki byłby pod opieką Towarzystwa łowieckiego, a względnie delegata tegoż Towarzystwa. Kupiec lub zawiadowca takiego składu nabywałby zwierzynę tylko od osób, mogących się wylegitymować prawnem ich posiadaniem, oraz w własnym swym interesie śledziłby i wykrywał nieprawnych jej posiadaczów lub tajne składy zwierzyny. Cenę zwierzyny postanawiałby delegat w miarę stosunków miejscowych, umowy z handlarzem, nie obowiązującej po za granicami powiatu. Towarzystwo łowieckie powinno postarać się dla takich handlów o pomoc wszelkich władz, niemniej też starannie strzedz, aby handlarz ściśle spełniał przyjęte obowiązki. Kary pieniężne, ściągnięte od kłusowników, mogłyby służyć jako premie dla osób wykrywających przestępstwa kłusownicze. Jestem przekonany, że podanymi tu środkami, może jeszcze niewyczerpanymi, możnaby do szczętu stłumić kłusownictwo.

Inną niemniej ważną kwestyą, rozbieraną na posiedzeniu Walnego Zgromadzenia Towarzystwa łowieckiego, jest wystrzeliwanie kóz (sarn), niezdolnych do rozpłodu. Ustawa dozwala

wybijać stare, jałowe kozy. Na mocy tejże ustawy, gdy udawano się z prośbą do c. k. Namiestnictwa o pozwolenie wybicia pewnej liczby kóz, działy się nadużycia. Nieraz wybijano znacznie większą liczbę, jak pozwolenie wskazywało, i to w większej części młodych. C. k. Namiestnictwo, według mego zdania, nie jest w tym względzie władzą kompetentną, bo nie fachową, więc udzielać pozwolenia może tylko po porozumieniu się w tym względzie z Wydziałem gal. Tow. łow., powinno tylko zatwierdzać orzeczenie tegoż Wydziału i włożyć na niego obowiązek strzeżenia, aby treść pozwolenia ściśle spełnioną była, Wydział zaś powinien powierzać straż ową swoim delegatom w powiatach. Wydział czyni odpowiedzialnym właściciela lub dzierżawcę kniei, zwykle członków Tow. łow., za ścisłe wykonanie danego zezwolenia tak co do liczby jak wieku kóz. Wybijanie ich nie powinno się odbywać na urządzanych polowaniach przez myśliwych, lecz przez fachową straż myśliwską lub leśną z zasadzki albo na podchodnem

Pan Glanz wniósł na temże posiedzeniu Walnego Zgromadzeniu projekt „zaprowadzenia egzaminów myśliwskich, aby uniemożliwić chłopom wynajmowania polowań gminnych". Poparł go silnie p. H. Strzelecki, opierając się na wymaganiu ustawy, aby gmina miała łowca kwalifikowanego. Wniosek to w skutkach nader doniosły i dla naszych stosunków bardzo pożądany. Wiadomo, kto zwykle pełni obowiązek gminnego dozorcy lasów lub pól, człowiek niemający najmniejszego wyobrażenia o obowiązującej ustawie łowieckiej, a natomiast hołdujący zasadzie komunistycznej co do zwierzyny. Jakżeż tu wierzyć w sumienne i umiejętne wykonywanie obowiązków? Tacy leśni lub polowi zwykle faworyzują kłusowników lub stają się nimi, a w najlepszym razie postępują wbrew przepisom prawnym. Nieznajomość ustawy łowieckiej jest niemal powszechną u takiej straży, a dosyć pospolitą także śród egzaminowanych leśniczych, właścicieli i dzierżawców obszarów łownych. Egzaminu od tych ostatnich wymagać niepodobna, ale wszelką straż egzaminować przy zaprzysiężeniu jest koniecznością, aby ona niewiadomością zasłaniać się nie mogła. W ogóle należy wszelkimi środkami wykorzeniać u naszego ludu popęd do nieszanowania cudzej własności, mniemanie, że ryba i dziki zwierz jest wspólną własnością. Wtedy dopiero wytępić będzie można kłusownictwo na lądzie i wodach. Trudniejszem może do wykorzenienia jest kłusownictwo u warstw wyższych. Przestępstwa te spełniają się z całą świadomością rzeczy, dla dogodzenia chuci drapieżnej, dla zysku. Takich przestępców należy stawiać bezwzględnie pod pręgierz opinii publicznej, bo oni to są owym posiewem, który złe ziarno szeroko rozplenia, ich należy najsurowiej karać.

W końcu nadmieniam, iż najgłówniejszym środkiem radykalnego wytępienia kłusownictwa w kraju będzie sprężyste działanie delegatów Towarzystwa łowieckiego i władz tak rządowych jak autonomicznych, a we Lwowie magistratu, który dotąd bardzo obojętnie i bez względu na dobro publiczne tę sprawę traktuje. *G.*

KRONIKA.

Telegram.

Wczoraj 13go wróciłem z Berezyny hr. Augusta Potockiego. Obecni myśliwi byli: hr. Althan, ks. Włodz. Czetwertyński, ks. Henryk Liechtenstein, hr. Max. Mielżyński, Bron. Rzewuski i ja. Rezultat polowania wzorowo prowadzonego: cztery niedźwiedzie i pięć łosi. Hr. August Potocki zabił jednego niedźwiedzia i jednego łosia, hr. Mielżyński niedźwiedzia i łosia, ks. Liechtenstein łosia, p. Rzewuski łosia, hr. Althan niedźwiedzia, ja zaś zabiłem bardzo silną niedźwiedzicę, z której łochwy wybraliśmy trzy niedźwiadki. Kilku z moich towarzyszów polują dalej, korzystając z wielkich śniegów i mrozów. *Roman Potocki.*

Wpisali się w poczet członków Towarzystwa łowieckiego:

Tomanek Stanisław.
Tomanek Włodzimirz.

Doniesiono nam pobieżnie, że w Marcu b. r. polowano w Białowieskiej puszczy na żubry. Ubito ich siedm, z tych dwa *à coup double* zabił książę Lichtenstein. Strzelali do żubrów tylko myśliwi z domów panujących. Spodziewamy się bliższego opisu tego ciekawego polowania.

Tustanowice 14. Marca.

Dnia 12. b. m. pozbyła się okolica tutejsza dwóch rabusiów, gdyż na polowaniu umyślnie w tym celu urządzonem padły dwa rysie (samice), trzeci zaś, prawdopodobnie samiec, uszedł postrzelony. W lasach do kamery należących stan zwierzyny, a w szczególności sarn, od lat kilku jest bardzo lichy. Główną przyczyną tego było od dawna znane i już nieraz tropione gniazdo rysiów w bardzo nieprzystępnym i w gąszcze obfitym rewirze „Bukowe" zwanym. Przypominam sobie, jak tej zimy na jednem polowaniu na dziki chłopiec idący z nagonką twierdził, że „sarna na jałyci sediła i sia dywyła na mene", wtedy już mieliśmy podejrzenie, że był to ryś. Podczas ostatnich śniegów (od dwóch tygodni) tudzież mrozów ściągnęły się sarny z rewiru Tustanowickiego w gąszcze, leżące w równinie u podnóża gór w tak zwanem „Prediubane". W ślad za sarnami przyciągnęły i rysie. Od tygodnia już śledził je nadzorca lasowy p. Gschwind i kilka razy miał już je obtropione, nie można atoli było zebrać myśliwych a raczej strzelców do urządzenia obławy. Nareszcie udało się we środę zebrać kilku strzelców tutejszych tudzież z pobliskiego Truskawca. Poustawiawszy strzelców, zapuścił się p. Gschwind z swoim psem w miot, po długiej chwili dał się słyszeć głos basowy „Pluta" a równocześnie cztery strzały, po chwili jeszcze dwa strzały, a następnie skowyczenie psa. Dążąc w miejsce, gdzie się walka psa z rysiem odbywała, usłyszałem jeszcze jeden strzał, a następnie ujrzałem Pluta targającego skrwawionego rysia. Rysia a raczej rysicę tę ubił p. Gschwind, dążąc za głosem swego psa, na wierzchu cienkiej olchy, na którą goniona rysica wyskoczyła; po dwóch strzałach zajęczakiem w pierś spadła z drzewa i rzuciła się na psa, dopiero trzeci strzał położył ją trupem. Rysica ta jest barwy rudej, nieznacznie centkowana. Druga rysica, która padła, jest bardzo piękna i duża, barwy jasno-cynamonowej, prawie białej, czarno pięknie centkowana, mierzyła 71 ctm. od nosa do nasady ogona. Trzeci ryś postrzelony, gdyż słabo farbował, zdołał ujść pomimo starannego prześladowania aż do zmroku. Jako dodatek do znanej szkodliwości tego rabusia może posłużyć, że w ostatnim tygodniu znaleziono w rewirze, w którym gościły rysie, 4 sarny i 2 zające rozdarte. W każdym razie należy się p. Gschwindowi tudzież zarządcy lasów kameralnych p. Tomaszewskiemu uznanie, pierwszemu za usilne i niezmordowane a na dokładnej znajomości sztuki łowieckiej oparte tropienie wszelkich szkodników lasowych, drugiemu za gotowość do urządzenia polowania i uprzejmość w natychmiastowem rozesłaniu zaproszeń. Nareszcie część uznania niech spadnie na Pluta, który jest mięszańcem legawca rasy czeskiej prawdopodobnie z polską (długowłosą) i wybornie goni i osadza dziki, jak piszący naocznie się miał sposobność przekonać, ubiwszy niedawno tęgiego pojedynka przed Plutem.

Erazm Bącz
inżynier górniczy.

Ze Stryjskiego.

Przy końcu sezonu polowań tegorocznych spieszę podać wiadomość o łowach, które się u nas odbywały, a były one liczne i pomyślne.

Do końca Grudnia r. p. odbyło się kilka polowań, ale wszystkie na mniejszą skalę, niż styczniowe; padło parę dzików, kozłów i lisów, za to zajęcy bardzo mało. Polowania większe zaczęły się dnia 21. Stycznia; naprzód w rewirach Daszawskim, Oleksickim i Łotatnickim, na-

leżących do pani Sozańskiej. Polowanie, trwające dni trzy, prowadzone znakomicie w ślicznej kniei, dało bardzo piękny rezultat: 10 dzików, 13 rogaczy, 18 zajęcy, 2 lisy i 2 jarząbki, prócz tego strzelano jeszcze do 9 dzików. Dnia 24. i 25. polowano w rewirach do hr. Karola Dzieduszyckiego należących, pierwszego dnia w Siechowie, drugiego w Uhełnie, gdzie gospodarz ślicznego żbika zabił; prócz tego padło 5 rogaczy i zając. Dziki podczas polowania flanką wyszły. Ogólny stan zwierzyny, z wyjątkiem zajęcy, bardzo piękny. Dzików mamy wszędzie aż zanadto, na brak sarn mało kto skarżyć się może; szanowni reprezentanci rodu lisiego także, niestety, w wielu lasach jeszcze bezkarnie gospodarują. Im też, jakoteż drapieżnym ptakom, psom i kotom, a wreszcie i sobie samym zawdzięczamy, my Nemrodowie lasów i pól w powiecie Stryjskim, że zając stał się rzadkim, a jeżeli dalej tak pójdzie, to za lat parę tylko w tradycyi egzystować będzie. A tak łatwo na to poradzić. Jeżeliby myśliwi i posiadacze polowań w okolicy naszej umówili się, że n. p. przez lat trzy zająca nie ubiją, natomiast lisy, jastrzębie, psy i koty wałęsające się niszczyć będą, to pewnie potem zając liczniej w spisie ubitej zwierzyny figurować będzie. Możeby i władze odpowiednie w to się wmięszały i okólnikiem kazały psy i koty w domu trzymać, a te, co się po świecie włóczą, tępić. Środki zaradcze są, dobrej woli nie brakuje, tylko nie ma komu stać na straży sprawy słusznej i ważnej dla myśliwego.

Julian br. Brunicki.

W zimie odbyło się w lasach dóbr Łopatyńskich polowanie z nagonką z współudziałem kilku myśliwych. Wypadek, jaki się zdarzył, podajemy w krótkości, a posłużyć on może jako nowy dowód siły i zaciekłości dzika. Rzecz miała się jak następuje. Myśliwi ustawili się na polance pomiędzy lasami i oczekiwali zwierzyny, nie będąc przygotowani na spotkanie z dzikiem, a broń nabita była przeważnie śrótem. Dzik ruszony przez nagonkę przypadkowo z legowiska, wyszedł na jednego z myśliwych, który powitał go dwoma strzałami, z tych jeden, jak się później okazało, był śmiertelny. Ciężko ranny zwierz zwraca się w bok i idzie prosto na drugiego z myśliwych, którego strzelba nabita była jedna lufa kulą, druga śrótem. Myśliwy ten stojący na wolnem miejscu, nie mógł ani się schronić, ani uciec, więc nie namyślając się dał ognia do dzika na sztych na niego idącego, ale pod wpływem trwogi i niebezpieczeństwa, w jakiem się znajdował, chybił, poczem odskoczył na bok przed nacierającym dzikiem, który uderzył myśliwego tylko ryjem po nogach z taką siłą, że wyrzucił go o kilka kroków, a strzelba wytrącona z ręki strzelca, pękła w osadzie na dwoje. Upadek myśliwego spowodowany uderzeniem ryja nabawił go lekkiego potłuczenia, a zarazem uratował mu życie, gdyż rozjuszony dzik rzucając się z impetem na myśliwego i odrzuciwszy go na bok, nie miał już siły zwrócić się ku niemu i w odległości kilku kroków od miejsca wypadku w prostym kierunku jak pędził padł na ziemię bez życia. Po rozćwiertowaniu zwierza pokazało się, że dzik śmiertelnie ranny od kuli pierwszego strzelca, rzucając się na drugiego, uczynił to już na pół nieżywy w konwulsyjnych drganiach, siła jednak jego była jeszcze znaczną bardzo, jeśli rosłego mężczyznę jednem uderzeniem ryja o kilka kroków mógł odrzucić.

S. Wittemberski.

Niejednokrotnie podnoszono już w „Łowcu" kwestyę szkodliwości niektórych ptaków, które w ustawie jako pożyteczne są wymienione. Że ustawa zawiera takie błędne postanowienia, przyzna mi każdy, kto badał przyrodę i starał się wniknąć w jej tajniki. Ośmielam się podać moje w tym względzie spostrzeżenia, oparte na własnem doświadczeniu. Pod zasłoną chroniącej ustawy broi swobodnie cała szajka łowieckich rabusiów. Wymienię dla przykładu myszołowa włochatego *(archibuteo lagopus)*. Niewinny ten niby ptak, tępiący według ustawy myszy, nie gardzi przy sposobności inną zwierzyną, a myszy łowi tylko wtedy, gdy czem innem głodu zaspokoić nie może. Z zasady nie ufając żadnemu ptakowi z krzywym dziobem i szponami, anatomizuję zawsze zabite. Otóż w Grudniu z. r. znalazłem w wolu myszołowa kuropatwę. Takich faktów mógłbym wiele wyliczyć. W letnich miesiącach począł u nas ginąć w zagadkowy sposób młody drób, szukający nocnego schronienia na szerokich, wypróchniałych lipach. Składano winę na kuny, jastrzębie, łasice, nikomu właściwy sprawca na myśl nie przyszedł. Pewnego dnia wracając wieczorem z polowania, spostrzegłem w cienistej ogrodowej alei siedzącą na ziemi sowę, która gdym się zbliżył, zerwała się, unosząc jakiś przedmiot w pazurach. Klasnąłem w ręce, sowa uleciała, a przedmiot upadł. Była to młoda kaczka. Wyjaśniła się tedy zagadka. W kilka dni później gwałtowna burza złamała spróchniały konar lipowy z gniazdem sowy puszczyka, w którem znaleziono ogromny zapas żeru, przeważnie drobiu i ptaków, a ledwie kilka myszy. — Ustawa nie wspomina o sojce, a jednak ptak to szkodliwszy nawet od krogulca, który prześladuje tylko wyrosłe ptaki, gdy owa fertyczna papuga naszych gajów, nader ruchliwa, szpera po wszystkich krzakach i dziupłach, poszukując jaj i piskląt ptasich, które w letnich miesiącach główne pożywienie sojki stanowią. Na poparcie mego twierdzenia mogę przytoczyć oprócz osobiście stwierdzonych faktów, równie zdanie poważnego i gruntownego badacza przyrody Brehma, który toż samo twierdzi. Sam widziałem w Czerwcu familię sojek, składającą się z siedmiu sztuk, zajętą burzeniem gniazda słowika. W zimie podziwiałem zręczność sojki w chwytaniu sikorek i bargli. Według Brehma młode kuropatwy ulegają temuż losowi. Jawnie się więc okazuje, że są ujemności w ustawie, które usunąć należy, i że w niej zmiany są koniecznie potrzebne.

Aleksander Przedrzymirski.

Z nad Sanu.

Nie żartem upominam się u czytelników „Łowca" o poklask dla moich przepowiedni zimy, umieszczonej w listopadowym numerze, ziściła się ona co do joty, zima była łagodna i nie śnieżna, również u nas w górach, nawet w samym Beskidzie. Jaką będzie wiosna, na to odpowiada kwestarz Chodźki: *quis scit* co za górą, zakryto to dla oka ludzkiego, jednak zdaje mi się, że nie będzie ona tak rychłą, jak zapowiadały dzienniki, bo sojki dotąd przebywają w zaroślach i w lesie w pobliżu mieszkań ludzkich, a przeczuwając rychłą wiosnę, uchodzą one w głęboki las. Nawet sojkę orzechówkę, mieszkankę właściwego Beskidu, widziałem i słyszałem pogwizdującą. Wiosna zapewne będzie sucha, bo od połowy Lutego wiały wschodnie wiatry, gdy zachodnio-północne lub północne wiatry są niezawodnymi zwiastunami mokrej wiosny, o czem się w długoletniem doświadczeniu przekonałem. — Na zwierzynę płową i zające była tegoroczna zima, jak mówi lud, „rodną matką". Jelenie zimowały po tej stronie Karpat, mając dosyć ulubionego żeru paproci, które w Beskidzie wyrastają do olbrzymich rozmiarów w głębokim lesie, osobliwie między wywrotami, drzewami powalonemi przez burze lub wiek, gnijącemi, zamieniającemi ziemię w humus. Pasą się jelenie chętnie paprocią, wygrzebując ją racicami z pod śniego. Sarny, niezmuszone biedą, trzymały się górnego lasu, nie schodząc prawie ku młakom na rzeżuchę lub ogryzanie wikliny. Nawet wydra szkodnica łatwo łowiła ryby na niezamarzłym Sanie i w mniejszych rzekach i potokach górskich. Źle się działo niedźwiedziom, budziła ich nieustannie odwilż, więc krótko gawrowały i włóczyły się po lesie, z tego powodu niedźwiednicy nasi żadnego nie wzięli.

L.

Znając najdokładniej stosunki państwa Dębickiego, pozwolę sobie do korespondencyi p. T. dodać małą uwagę. Szanowny korespondent prawdopodobnie zapomniał albo był źle poinformowany, przez co wyrządził wielką krzywdę tamtejszemu zarządowi lasowemu, względnie nadleśniczemu p. B., doświadczonemu i zamiłowanemu myśliwemu. Szanowny korespondent twierdząc, iż straż lasowa nie chce wiedzieć o nadużyciach kłusownictwa, myli się bardzo; wie ona o nich, lecz nie może im zapobiegać tak, jakby należało. Wprawdzie kłusownik chłop jest bezwarunkowo śledzony i ostro karany, nie jest on jednak jedynym tępicielem zwierzyny, groźniejszymi są owi niezliczeni „Sonntagsjägery", którzy ufni w znaną względem pozwalania polowania dobroć pełnomocnika tamtejszego p. P., wyzyskują go i strzelają co i kiedy im pod lufę się nadarzy. Zaprawdę zgrozą przejmuje nietylko myśliwego, ale każdego miłośnika przyrody, gdy słucha opowiadań tych bohaterów, nieraz bowiem zdarzy się słyszeć nawet z ust ludzi inteligentnych opowiadanie o wybijaniu bezwzględnem zajęcy i sarn. Pełnomocnik p. P. nie jest myśliwym; nie jest to winą, ale jest winą wielką, że nie ma odwagi i energii odmówić natrętnym prośbom okolicznych „Sonntagsjägerów", którzy jako ludzie ze znaczeniem, zaopatrzeni w paszporta na broń i pisemne pozwolenie polowania, imponują niższej straży lasowej, a despotyczne stosunki tamtejsze nie pozwalają nadleśniczemu p. B. energicznie wystąpić. Państwo Dębickie mając tak piękne i dla zwierzyny korzystne położenie, powinnoby słynąć z dobrych polowań, w ciągu roku ubita zwierzyna mogłaby nawet wcale ładny dochód nieść, gdyby nie nadużycia, jakie się rzeczywiście dzieją. Czas takiemu gospodarstwu koniec położyć. W tym celu należy udać się do pełnomocnika p. P. z gorącą prośbą, ażeby polowanie oddał pieczy wcale kompetentnemu nadleśniczemu p. B., który pojmuje najdokładniej potrzebę i cel zakładania remiz, tępienia lisów, psów, kotów, jastrzębi i t. d. i nie szczędzi kłusownika. Dzisiaj myśliwstwo stało się obok przyjemności jaką nam sprawia, nową gałęzią gospodarstwa, zadaniem więc naszem jest starać się o podniesienie jego, a chcąc widzieć w krótkim czasie uwieńczone dzieło nasze, powinniśmy bronić i przestrzegać o każdej porze praw i przykazań naszego patrona, a o bezprawiach wszelkich donosić władzom i na-

szemu „Łowcowi“. Niechajże wiec myśliwi rozumnie urządzą gospodarstwo łowieckie, niech zakładają remizy, nie żałują ołowiu na wytępienie lisów, psów, kotów, jastrzębi, srok i t. d., podczas zawiei śnieżnych niech nie żałują kilku wiązek siana lub koniczyny, odrobiny pośladu dla kuropatw, a zakwitnie stan zwierzyny w Galicyi, staniemy u celu naszych pragnień. Wystarczy przypomnieć szan. czytelnikom „Łowca“ zeszłoroczną korespondencyę p. T. K. z Lubziny, u którego na przestrzeni zaledwie 1500 morgów, po rozumnem dwuletniem szanowaniu zwierzyny, ubito w jednym dniu, przy wielce niesprzyjającem powietrzu, 50 sztuk, podczas kiedy przedtem dawano bankiety, ubiwszy 7 zajęcy!

Ar.

Podkamień 15. Marca.

Zawiesiwszy w Lutym strzelbę na kołku biedny myśliwy, podobny do młodej tanecznicy po popielcu, ze ściścionem siedzi sercem, bo mu pozostają tylko rozpamiętywania i wspomnienia. W podobnem będąc położeniu, rozpamiętuję tegoroczne wrażenia z polowań odbytych w jesieni i zimie tego roku, w rozmaitych rewirach naszego kraju. Smutne myśli nasuwać muszą te rozpamiętywania. Rok ten fatalny u nas z tylu innych względów, niemniej fatalnym był i dla zwierzyny. Ze wszech stron słychać narzekania na brak zajęcy, a w wielu okolicach motylica dziesiątkuje sarny w sposób przestraszający. Wobec tych objawów, grożących wielką klęską zwierzostanu w kraju, bardzo byłoby pożądanem, by Towarzystwo łowieckie, idąc za głosem ks. Adama Sapiehy na ostatniem ogólnem zgromadzeniu, udało się do Namiestnictwa z prośbą usilną, aby bardziej było oględnem w wydawaniu pozwolenia do wybijania kóz. Nauczony doświadczeniem, z zasady jestem przeciwnym wydawaniu takiego pozwolenia, bo mam przekonanie, że nam bardzo jeszcze daleko przeciętnie w całym kraju do takiej hiperprodukcyi sarn, ażeby groźną być mogła dla drzewostanu. Więcej tylko pilności i nadzoru ze strony straży leśnej, a szkody w kulturach będą nieznaczne, jak to widzimy w kameralnych rewirach, w których sadzonki mazią smarowane, od szkody bywają ochraniane. To wybijanie kóz pod pozorem szkód wyrządzanych w kulturach, przeważnie dotąd bywało industryą niesumiennej straży leśnej u niemyśliwego właściciela. Są rewiry, w których dotąd o kulturach nie myślano, a uzyskano pozwolenie na wybicie 20 do 30 kóz, a na ten rachunek wymordowano może dwa lub trzy razy tyle, a motylica reszty dokonała. Sam polowałem tego roku w jednym rewirze, którego zarząd podał o pozwolenie wybicia 20 kóz, a stan sarn tak tam jest opłakany, że i tych, na zagładę przeznaczonych ofiar, trudno by było w nim spotkać. A ileż to razy przekonałem się, że bydło chłopskie lub krowy pani leśniczyny w kulturach na rachunek sarn wyrządzają szkody, za które ta biedna zwierzyna odpowiadać musi. To wybijanie kóz i tę ma niemoralną stronę, że w owej okolicy ułatwia kłusownikom handel zwierzyną, którą wyprawiają nawet koleją, o czem się naocznie przekonałem. Wobec grożącej tego roku klęski, byłoby bardzo pożądanem, by Towarzystwo łowieckie udało się z prośbą do Namiestnictwa, by choć na ten rok bezwzględnie się wstrzymało od udzielania pozwolenia na te rzezie niewinniątek, które tak są szkodliwe i wstrętne, a na które dusza każdego prawdziwego myśliwego się wzdrygać musi.

Leopold hr. Starzeński.

Dnia 5. Marca urodziła sarna u mnie w lesie sarniątko, wielkości kocięcia i to biedactwo z wysileniem za matką łazi po śniegu. Dnia 13. zastałem w innym lesie młode sarniątko już biegające. Są to już cztery zdarzenia w mem badawczem życiu, że sarny rodzą na śniegu w Marcu i naprowadzają mnie na zdanie następujące: Przypuszczając ciężarność sarny trwającą przez pięć miesięcy, wnoszę, że wyjątkowo kozy odbywają już ruję w Październiku.

Kaźmirz hr. Wodzicki.
Olejów 14. Marca.

W gubernii Permskiej zajmowało się łowami w roku 1883 około 6000 myśliwych. Ubito 265 niedźwiedzi, 575 wilków, 300 rysiów, 130 łosiów, 650 lisów, 1150 kun, 1700 sobolów, 129.000 wiewiórek, 39.000 zajęcy, 129.000 par jarząbków i około 27.000 cietrzewi, głuszców i innego ptactwa razem w cenie prawie 70.000 rubli. Ceny za ubitą zwierzynę były następujące: za niedźwiedzia 3—12 rs., na wilka 2—5 rs., za rysia 4—12 rs., za lisa albo kunę 2—7 rs., za wiewiórkę 6—35 kop., za zająca 6—30 kop. Cena ptactwa była mniej więcej taką: para jarząbków 12—50 kop., reszta 20—150 kop. para. Jedna część zdobyczy służy na zaspokojenie potrzeb miejscowych, reszta idzie na sprzedaż do środkowych gubernii, głównie do Moskwy i Kazania, w części zaś za pośrednictwem kupców na jarmark Irbicki i inne targi. Daty te ogłoszono w „Sielskim wiestniku“, wydawanym przez rząd rossyjski i rozdzielanym bezpłatnie między gminy wiejskie. Podane liczby nie są przesadzone, gdy się zważy, że gubernia Permska, przecięta górami Uralu i w większej części lasem pokryta, zajmuje 6050 niemieckich mil kw. przestrzeni, więc przez połowę tak jest rozległą, jak Austro-Węgry.

(Jagdzeitung.)

Wiosna — to wielki post dla myśliwych w kniei. Wkrótce się pocznie polowanie na kaczki i słonki, lecz jakże krótkotrwałą ta rozkosz. Na kaczki, gdy zaczną się zbierać w pary dla lęgu, nie godzi się polować, a słonki po dniach kilkunastu nikną, kryjąc się po pieleszach — i oto koniec wszelkiej uciechy, a wedle starego przysłowia:

A myśliwy jak nieżywy,
Orką, siejbą wciąż zajęty,
Daje zwierzom pokój święty.

Od tej pory powinno się wszelkiego gatunku psom łowieckim uszczuplić racyi, t. j. mniej podawać strawy, całkowicie ujmując okrasy: nóżek baranich lub odpadków mięsnych, bo zdrowiej dla psa, gdy nieco chudszy, byle nie zbyt wychudzony, wyjdzie na skwary letnie. Gdy skończy się pora łowów, dobrze jest psom dać na przeczyszczenie, w tym celu najlepszy aloes, jeżeli go nie ma, lub pies dla gorzkiego smaku nawet w kwaśnem mleku spożyć go nie chce, to równie dobry skutek robi serwatka, której niech się pies nachlepcze nawet nad miarę, lecz wtedy nie trzeba mu dawać osypki. Wilk, lis, a nawet psy domowe, skoro się puści młoda trawka, instynktem wiedzione skubią ją i spożywają, poczem dostają wymiotów, którymi wyrzucają z żołądka wszelkie nagromadzone nieczystości, flegmę, turzycę zajęczą, pierze ptasie, szerść mysią. Psy, osobliwie młode, z łakomstwa pożerają cokolwiek, nawet końskie odchody, skórę garbowaną i t. p. przedmioty, które kamieniem leżą w żołądku i nabawiają ich wielu chorób, więc dobrze dać im na wiosnę emetyku. Sprzęt myśliwski należy teraz opatrzyć i starannie przechować, więc strzelbę dobrze oczyszczoną oliwą lub naftą, niedopuszczającą rdzy, zawiesić na ścianie tak, aby na nią promienie słońca nie padały, bo one psują hart stali i żelaza. Sieci, płotki, rozjazdy po naprawieniu oczek, dobrze wysuszywszy na słońcu, uwiesić u belki lub sufitu, lamusu, magazynu lub spichrza. Dobrze to mawiali starzy: Nie wtedy kulbacz konia, gdy nań wsiadać pora!

Doświadczyński.

W Kwietniu wedle naszej ustawy wolno polować: do 20. na słonki, w ciągu całego miesiąca: na cietrzewie, głuszce, dropie, jakoteż na ptactwo wodne i błotne.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Żorża.